S. PRZYBYSZEWSKI

ŚNIEG

A.P.


Ex Libris
ZŁOTA WOLNOŚĆ

Stanisław Przybyszewski

ŚNIEG

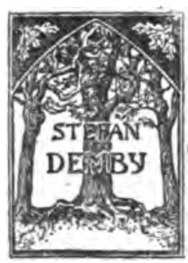


WARSZAWA

STEFAN DEMB

MCMIII

ŚNIEG



Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

ŚNIEG

DRAMAT W 4-ch AKTACH

WARSZAWA
STEFAN DEMBY
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Января 1903 года.

OSOBY:

TADEUSZ.

BRONKA, jego żona.

EWA, jej przyjaciółka.

KAZIMIERZ, brat Tadeusza.

MAKRYNA.

LOKAJ.



I

SCENA I.

KAZIMIERZ—BRONKA.

Widz patrzy na wytworny pokój jadalny, z którego poprzez wielkie, wysokie okna i przez oszkloną, zimową oranżerję widać nagie, szronem okryte drzewa ogrodu i płaty gęste śniegu. W kącie wielki, staroświecki komin, obok polana sosnowe, które Kazimierz dorzuca nerwowym ruchem raz po raz do ognia. Bronka stoi przy oknie, niespokojnie zapatrzona w śnieżycę.

KAZIMIERZ.

Coś ty taka niespokojna? Nie bądź-że dzieciakiem. Czego się lękasz?

BRONKA.

Ale, bój się Boga, Kaziu, czy nie widzisz jaka śnieżyca? Prawie cały dzień sypie i sypie. Zaspy się potworzyły. Tam za miastem droga bez drzew na jaki kilometr. Niechże stangret pobłądzi. Sanki się w rów przewrócą...

KAZIMIERZ *(przerywa jej)*.

I cóż z tego? Tadeusz wypadnie w rów. Będzie mu miękko.

BRONKA.

O, jakiś ty brzydki.

KAZIMIERZ.

No, nie gniewaj się. Ale patrzę rzeczywiście na was, jak na dwoje dzieciaków. Wasz stosunek—to rzadka anomalja. Rok już jesteście pobrani, a bawicie się w takie czułostki, jakbyście się dopiero wczoraj poznali.

BRONKA.

Ależ to, to właśnie robi nasze życie tak pięknym.

KAZIMIERZ.

Oczywiście, oczywiście. Ale powiedz mi, kochana Bronko, ile miłosnych listów otrzymałaś od twego Tadzia przez ten jeden tydzień, odkąd go w domu niema?

BRONKA.

Ach, gdybyś wiedział, jaki on piękny list mi napisał! Gdybyś wiedział, jak ja te listy kocham. Tak pięknych słów nikt nie umie powiedzieć.

KAZIMIERZ.

No—o słowa nietrudno. Ale Tadeusz cię rzeczywiście kocha *(zamyślony)*. Tak, on cię bardzo kocha. Zazdroszczę wam waszej miłości i waszego szczęścia. *(Po chwili)*. Całkiem się tu przy was rozmazgaję. Coraz częściej śnią mi się sentymentalne idylle o jakimś zakątku, gdziebym przy ukochanej, pieszczonej i pieszczącej kobiecie mógł swobodnie pracować. Znużyła, znudziła mnie ta wieczna włóczęga po całym świecie. Zresztą to wszystko blaga. Wrażenie

artystyczne, muzea, teatr, cyrk, Włochy, Paryż—to blaga, blaga, blaga. Tylko co raz większa nuda. Wszędzie jedno i to samo, i tak człowiek wlecze się z kąta w kąt z tą samą ustawiczną nudą...

BRONKA.

Kaziu, Kaziu, jakiś ty smutny. Takiego bezdennego smutku jeszcze nie widziałam.

KAZIMIERZ.

A tak.

BRONKA.

A gdybyś się zakochał, Kaziu, co?

KAZIMIERZ.

Chyba w tobie. Tak, czy tak, już mi do tego niedaleko.

BRONKA *(żartując)*.

Ej, ty głuptasie, cobyś ty robił z taką prostą dziewczyną, jak ja. Takie proste, szlacheckie dziewczę to nie dla ciebie.

KAZIMIERZ *(ironicznie)*.

Otóż właśnie dla mnie. Mam dosyć tych głupich, próżnych samiczek pawich, które grają rolę demonów i pieprzą ją mozolną i niesmaczną żonglerją temperamentu i namiętności, dosyć tych maślankowatych i ckliwych aniołów natchnienia. Dosyć tych zgarbionych wiedźm, co się rozbijają na łysej górze nauki, wiedzy i pracy społecznej. Och, wierz mi szczerze, strasznie zmęczony jestem temi Epipsychidjonami, połowami i połowiczkami dusz męskich *(pociera czoło i rzuca nerwowo parę ga-*

łęzi do kominka, chodzi wokół pokoju). Oto właśnie, czego mi potrzeba, takiej prostej dziewczyny, takiej białej, szlacheckiej dziewczyny, tak... wieczory całe spędzać z nią razem przy kominie, z taką niepokalaną, nieświadomą ni grzechu, ni cnoty. Czuć kobietę przy sobie, która nie zna ani zasad, ani teorji, ani kierunków, ani żadnych izmów, tylko jest sercem, gorącym, czystym sercem. Ha! zapomniałoby się wtedy o bladze i nudzie.

BRONKA.

Och, jak ty się okłamujesz. Dwa dni bawiłaby cię taka szlachecka dziewczyna, a potym... No, a co potym, to już sobie w duszy dośpiewaj...

KAZIMIERZ.

Tak sądzisz?... Ale to dziwna, że ja z taką prostą dziewczyną, jak się nazwałaś, przez cały dzień rozmawiam, ze wszystkiego się jej spowiadam, każdą myśl z nią dzielę i nietylko że ani na sekundę nie uczułem nudy, ale przeciwnie, nigdy nie zaznałem tak dobrych, kochanych dni, jak tu u brata i razem z tobą... *(lekko).* Wiesz, Bronka, ja się na serjo w tobie pokocham.

BRONKA *(naśladując ton jego mowy).*

Gdybyś nie mówił tego wszystkiego tak znudzony, troszkę smutny, a przedewszystkim zamyślony o całkiem innych sprawach, tobym cię gotowa posądzić o jakiś flircik, który ze mną chciałbyś rozpocząć.

KAZIMIERZ (*śmiejąc się*).

A czemużby nie, moja piękna bratowo? Sztuka takiego niewinnego podniecania siebie i drugich może być bardzo piękną i wytworną... to tak, jakby się człowiek napił kieliszek ognistego Amontilado.

BRONKA.

Ja nie mam ochoty kosztować tego ognistego Amontilado *(roztargniona)*. Ale co to ma znaczyć, że Tadeusz nie przyjeżdża? Powiadam ci, Kaziu, że stangret rzeczywiście sanki w rów przewrócił.

KAZIMIERZ.

Ale nie bądź tak niecierpliwa, sanna jest utrudniona, śnieg głęboki, no, a przecież koni nie można na śmierć zajeździć.

BRONKA.

No tak, masz słuszność. Swoją drogą, Kaziu, ty twoim znudzeniem i twoją zimną melancholją tak człowieka rozdrażniasz, tak przygnębiasz, że.... (*urywa*).

KAZIMIERZ.

No, że co? że co?

BRONKA.

Że gotowam pobiec i obudzić Ewę... Nie pojmuję dlaczego ona wiecznie śpi?

KAZIMIERZ.

A może i nie śpi.

BRONKA.

Więc unika nas.

KAZIMIERZ.

Nie, ale czuje, że nam lepiej bez niej.

BRONKA.

Brzydki jesteś. To była zawsze moja najbliższa, najserdeczniejsza przyjaciółka. Nie masz wyobrażenia, jak jestem szczęśliwa, że wreszcie przyjechała, dwa lata jej nie widziałam. Ale wiesz, Kaziu, doszczętnie się zmieniła. Nie wiedziałam, że w tak krótkim czasie natura ludzka może się tak całkiem na ręby przewrócić.

KAZIMIERZ.

Jakto, zmieniła się?

BRONKA (*trochę zakłopotana*).

Widzisz... ja właściwie mam taki... wstyd pensjonarki... o tym wszystkim mówić. No, ale tobie wszystko powiedzieć można, bo ty jakbyś nie był mężczyzną.

KAZIMIERZ.

Bardzo słuszna uwaga. Ale opowiedz mi coś o pannie Ewie, to mnie bardzo zaciekawia.

BRONKA.

Widzisz, ona sierota i bardzo bogata. I to całe jej nieszczęście, że każdy swój kaprys zadowolnić mogła... Ale nie o tym chciałam mówić. Byłyśmy razem na pensji i łączyła nas dziwna

jakaś miłość. Ona kochała mnie do szaleństwa, tak, że miłość jej czasami była dla mnie udręczeniem i męką. To znowu była tak nieskończenie dobrą, była jagnięciem, z którym się bawić mogłam: niewolnicą, która myśli na mym czole czytała, to znowu kapryśną, jak tyran, zazdrosną o każdą myśl moją, o każde drgnienie serca.

KAZIMIERZ.

No i co potym?

BRONKA.

Opiekun odebrał ją po śmierci swojej żony z pensjonatu i odtąd stała się panią swej woli, swego majątku, swej melancholji, a może i nudy... Ot widzisz, Kaziu, to byłaby żona dla ciebie.

KAZIMIERZ.

Hm, hm. Ale jeszcze nic o tej zmianie nie mówiłaś, która tak nagle w niej zaszła.

BRONKA.

No, widzisz, widzisz, jaka ja roztrzepana. Zdania dokończyć nie mogę *(zamyśla się)*. Otóż mimo wszystkich swych kaprysów i gwałtownych wybuchów była ogromnie wesoła, rej między nami wszystkiemi wodziła. Wszystko i wszystkich umiała wykpić, w pole wyprowadzić. A teraz... tak dokładnie sobie sprawy nie zdaję, tylko czuję, że... wiesz, Kaziu, wstydzę się przyznać, że mi jest jakaś obca... Nie jestem już z nią tak swobodna, jak byłam, i takie mam jakieś nieuchwytne uczucie lęku i... Ach, jaka ona piękna, widziałeś, jaka ona piękna? Widziałeś?

KAZIMIERZ.

Nie patrzałem dotychczas na nią.

BRONKA.

Człowieku, czyś ty ślepy? Nie, rzeczywiście przestałeś być mężczyzną.

KAZIMIERZ.

Przypuszczam, że masz słuszność, ale twój gość poczyna mnie interesować. No i czemu przypisujesz tę zmianę? Złamanemu sercu? Zawiedzionej miłości?

BRONKA.

Ona?... Nie—nie—mój Kaziu.

KAZIMIERZ.

Jak możesz to tak na pewno twierdzić?

BRONKA.

Bo znam wszystkich młodych ludzi, którzy ją otaczali—wiem, że się tylko niemi bawiła, a jedyny człowiek, który ją zajmował, to był Tadeusz; ale przeciwnie, coś ich od siebie odpychało.

KAZIMIERZ.

Jakto, Tadeusz ją znał?

BRONKA.

Oczywiście, znał ją zanim mnie poznał.

KAZIMIERZ (*lekko*).

No i nie pokochali się w sobie?

BRONKA *(cofa się, jakby czymś nagle przykro dotknięta).*

Więc ty sądzisz, że byłabym ją tak gorąco i tak serdecznie do nas w gościnę prosiła, gdyby nie ta absolutna pewność, że byli sobie zupełnie obcy?

KAZIMIERZ.

Tak, to prawda, a raczej może być prawdą, bo tak dalece serca niewieściego nie znam.

BRONKA.

Lękam się tylko, czy jakiej przykrości Tadeuszowi nie zrobiłam, że bez jego wiedzy tak ją nagle, gwałtownie do siebie zaprosiłam. Może chciałby przynajmniej przez parę dni po powrocie być tylko z nami razem... Dla mnie jest ona milszą od siostry, kocham ją nade wszystko, ale dla Tadeusza jest obcą.

(*Słychać dzwonki u sanek, zajeżdżających na podwórze.*)

BRONKA (*z radosnym wykrzykiem*).

Tadek jedzie! Tadek jedzie! O, wreszcie! *(wybiega przez drzwi na lewo.)*

SCENA II.

KAZIMIERZ (*siedzi i patrzy z niewymownym smutkiem za nią, kręci niespokojnie wąsa, dorzuca gałęzi do kominka, chodzi wszerz i wzdłuż pokoju, przystaje, chwyta się za głowę i mówi cichym szeptem:*

Tak, tak—zapóźno—zapóźno.

(*Siada, pali papierosa, apatyczny, zamyślony.—W przedpokoju słychać głos Bronki: „Mój Tadek najdroższy, mój Tadek!" Kazimierz drgnął gwałtownie.—Głos Tadeusza: „Ach, jak ja za tobą tęskniłem". Twarz Kazimierza kurczy się bolesnym, przykrym uśmiechem.)*

SCENA III.

BRONKA.

Chodź, chodź, kochanie moje; jak ty przemarzłeś—chodź, ogrzejesz się przy kominku.

TADEUSZ.

Ale mnie wcale nie jest zimno, dziecko drogie *(wita się z Kazimierzem)*. No, Kaziu kochany, strzegłeś dobrze domu? Nie zawracałeś Bronce głowy metafizyką i sztuką?

KAZIMIERZ.

Gdzież tam, starałem się przedewszystkim Bronkę przygotować na to, że się już od was nie ruszę.

TADEUSZ.

A co, dobrze ci tu?

BRONKA.

Ale chodźże, Tadziu, chodź do kominka, tyś taki cały przeziębnięty.

TADEUSZ.

Pięknie ci dziękuję za twój kominek, ale z rozkoszą po tym mrozie zjadłbym coś, bom bardzo głodny.

BRONKA.

Dobrze, dobrze, w tej chwili *(wybiega)*.

SCENA IV.

TADEUSZ. (*Wesoły i szczęśliwy*).

A co, Kaziu, znalazłem szczęście i spokój. Nigdym nie śmiał nawet zamarzyć o takim raju. A zanim Bronkę poznałem, zdawało mi się, żem już wszystkie siły do życia stracił. Serce było suche, jak wiór, dusza obolała i ta straszliwa, piekielna nasza nuda rodowa zwolna już się kładła na mnie, jak ciężka zmora.

KAZIMIERZ.

A wiem, wiem, w jakim strasznym, beznadziejnym stanie znajdowałeś się wówczas. Każdy twój list czytałem z niepokojem, bom lękał się wyczytać: „bądź zdrów, kochany bracie, zanudzam się na śmierć, więc przenoszę się na łono wieczności...“ Właściwie się nie lękałem, bo na nudę to jedyny środek. Ale zawsze to nieprzyjemnie podobny list od brata swego odebrać... *(nagle)*. Ale powiedz mi, dlaczego ty, którego

SCENA II.

KAZIMIERZ (*siedzi i patrzy z niewymownym smutkiem za nią, kręci niespokojnie wąsa, dorzuca gałęzi do kominka, chodzi wszerz i wzdłuż pokoju, przystaje, chwyta się za głowę i mówi cichym szeptem:*

Tak, tak—zapóźno—zapóźno.

(*Siada, pali papierosa, apatyczny, zamyślony.— W przedpokoju słychać głos Bronki: „Mój Tadek najdroższy, mój Tadek!" Kazimierz drgnął gwałtownie.— Głos Tadeusza: „Ach, jak ja za tobą tęskniłem". Twarz Kazimierza kurczy się bolesnym, przykrym uśmiechem.)*

SCENA III.

BRONKA.

Chodź, chodź, kochanie moje; jak ty przemarzłeś—chodź, ogrzejesz się przy kominku.

TADEUSZ.

Ale mnie wcale nie jest zimno, dziecko drogie *(wita się z Kazimierzem)*. No, Kaziu kochany, strzegłeś dobrze domu? Nie zawracałeś Bronce głowy metafizyką i sztuką?

KAZIMIERZ.

Gdzież tam, starałem się przedewszystkim Bronkę przygotować na to, że się już od was nie ruszę.

TADEUSZ.

A co, dobrze ci tu?

BRONKA.

Ale chodźże, Tadziu, chodź do kominka, tyś taki cały przeziębnięty.

TADEUSZ.

Pięknie ci dziękuję za twój kominek, ale z rozkoszą po tym mrozie zjadłbym coś, bom bardzo głodny.

BRONKA.

Dobrze, dobrze, w tej chwili *(wybiega)*.

SCENA IV.

TADEUSZ. (*Wesoły i szczęśliwy*).

A co, Kaziu, znalazłem szczęście i spokój. Nigdym nie śmiał nawet zamarzyć o takim raju. A zanim Bronkę poznałem, zdawało mi się, żem już wszystkie siły do życia stracił. Serce było suche, jak wiór, dusza obolała i ta straszliwa, piekielna nasza nuda rodowa zwolna już się kładła na mnie, jak ciężka zmora.

KAZIMIERZ.

A wiem, wiem, w jakim strasznym, beznadziejnym stanie znajdowałeś się wówczas. Każdy twój list czytałem z niepokojem, bom lękał się wyczytać: „bądź zdrów, kochany bracie, zanudzam się na śmierć, więc przenoszę się na łono wieczności...“ Właściwie się nie lękałem, bo na nudę to jedyny środek. Ale zawsze to nieprzyjemnie podobny list od brata swego odebrać... *(nagle)*. Ale powiedz mi, dlaczego ty, którego

znałem takim dziarskim, kochanym chłopakiem, takim pełnym życia i siły, popadłeś w tę piekielną rozterkę? Mnie się nie dziwić, bo byłem mazgajem i niedołęgą od dziecka, ale ty, ty?

TADEUSZ.

Długo musiałbym ci o tym mówić, znudziłbyś się opowiadaniem tych strasznych męczarni, które przeżyłem. Byłbym zmarniał, gdybym nie był Bronki poznał.

KAZIMIERZ (*niedbale*).

Czy kobieta była tego przyczyną?

TADEUSZ.

Tak i nie... Czy ja wiem... Nieokreślona jakaś tęsknota, za kim i za czym—nie wiem.

KAZIMIERZ.

Czy kobieta ta była zła? Przewrotna?

TADEUSZ.

Nie, przeciwnie. Ona tylko straciła zdolność do życia. Zamęcza siebie i innych. Opanowało ją jakieś obłędne pragnienie zniszczenia. Ach, jak ja się męczyłem!

KAZIMIERZ.

No, i co potym?

TADEUSZ.

Potym?... Hm... Chciała być niewolnicą, a musiała być panią. A ja za bardzo lękałem się utracić ją, a okiełzać jej nie umiałem. Pogardzałem sobą. Nienawidziłem jej i siebie. Na nic się nie zdało.

KAZIMIERZ.

No — i...?

TADEUSZ.

Skończyła się rozpaczna ballada.

KAZIMIERZ.

No i odtąd nigdy jej już nie widziałeś?

TADEUSZ.

Ostatni znak życia dostałem w dzień ślubu. Otrzymałem od niej tak serdeczny, gorący i wylany list, że o wszystkich krzywdach zapomniałem.

KAZIMIERZ.

A może to był tylko zły i mściwy podstęp kobiecy?

TADEUSZ.

O, nie. Była Bronki przyjaciółką, kochała ją namiętną miłością i była rzeczywiście szczęśliwą, że Bronka wychodzi za człowieka, którego ona, jak pisała, co najwyżej mogłaby unieszczęśliwić.

KAZIMIERZ (*badawczo*).

I już jej potym nie widziałeś?

TADEUSZ.

Nie.

KAZIMIERZ.

I nigdy o niej nie myślisz?

TADEUSZ.

Nie. W moim sercu i mózgu tylko dla Bronki miejsce.

KAZIMIERZ.

A gdybyś ją nagle ujrzał?

TADEUSZ (*zamyślony*).

Gdybym ją ujrzał? Nie... toby już na mnie żadnego wrażenia nie zrobiła. Miłość ku niej dawno się już spopieliła. A zresztą, czy ja wiem, czy to miłość była. Może to tylko junacza ambicja człowieka, który nigdy oporu nie doznał, i który się do szału tym rozdrażnił, że nie mógł zdobyć zupełnie kobiety, którą chciał posiąść. Dodaj do tego wstyd, jaki czułem przed samym sobą, uczucie niepewności i niezaspokojonych pragnień, a może będziesz miał dokładny obraz ówczesnego stanu mojej duszy. *(Wstaje, przechadza się po pokoju.)* Gdybym ją ujrzał... tak nagle... hm... Możeby tam coś na dnie mojej duszy drgnęło...

KAZIMIERZ.

Zdaje się—że nie jesteś bardzo pewnym siebie.

TADEUSZ.

Gdybym Bronki nie miał przy sobie. Ale widzisz, ja z moją energiczną i silną naturą nie czułem się dobrze w tych śred-

niowiecznych, zimnych i smutnych murach, w których tamta tylko żyć umiała. Tam straszyło po nocach. Tam zagościły widma i mary. Energja topiła się jak wosk w ogniu. A ta wściekła melancholja wyżerała mi tuk z kości. A patrz: mój łeb stworzony na to, by się w słońcu kąpać, a moje pięści na to, by z większą jeszcze potęgą ode mnie iść w zapasy, jeżeliby tego zaszła potrzeba. *(Prostuje się, mocny i silny i nagle z wesołym śmiechem głośno klaszcze w ręce).* A bywaj-że, Bronka, bywaj!

BRONKA (*z za sceny*).

Zaraz — zaraz.

KAZIMIERZ.

A gdzieś ty Bronkę poznał?

TADEUSZ.

A u wuja mojego. W lesie, jechała konno, koń jej się spłoszył, czymś przestraszony. Patrzę, dziwię się takiemu szalonemu pędowi, alem zrozumiał, że takiego galopu amazonka nie pragnęła, chociaż się bardzo dzielnie trzymała. W jaki sposób konia osadziłem na miejscu, tego już nie wiem. Odleżałem awanturę przez parę tygodni, alem zyskał Bronkę, spokój i szczęście.

KAZIMIERZ (*z ironicznym uśmiechem*).

Ciekawa przygoda.

TADEUSZ.

A tak, ciekawa. Tak ciekawa, że dopókim o tych przygodach czytał w romansach, bo z rozpacznej nudy czytywałem

nieraz romanse, nie myślałem, że takie historje i w życiu zdarzyć się mogą.

SCENA V.

(*Wchodzi Bronka a za nią lokaj z tacą, pełną przekąsek i nalewek.*)

BRONKA. (*Tuląc się pieszczotliwie do Tadeusza, głaszcze go ręką po twarzy*).

Jakiś ty niecierpliwy. Przecież ja sama chciałam ci to wszystko przyrządzić.

TADEUSZ.

Ale na co tak dużo?

BRONKA.

Do kolacji jeszcze daleko, jedz—jedz.

TADEUSZ (*nalewa wódkę i pije do Kazimierza, je zakąski i mówi, jedząc.*)

A też to śnieżyca, że świata przed oczami nie widać. Zaspy po pas.

BRONKA.

Ach, jak ja się o ciebie lękałam.

KAZIMIERZ (*żartem*).

A tak, najstraszniejsze obrazy twoich mąk i cierpień pod przewróconemi sankami majaczyły jej się przed oczami.

TADEUSZ (*obejmuje jej głowę*).

O, ty, niepoprawny dzieciaku, ani na krok się od ciebie ruszyć nie mogę.

BRONKA.

Bo wiem, że przy mnie nic ci się złego nie stanie.

TADEUSZ (*zrywa się nagle*).

Ależ to dziwne! pamięć moja gorsza niż u kury. Zaraz zaraz przyjdę *(idzie ku drzwiom)*.

BRONKA.

Dokąd idziesz?

TADEUSZ.

Zaraz, zaraz, kochanie... niespodzianka *(znika w przedpokoju)*.

(*Za sceną silny głos Tadeusza: «Paweł, Paweł!»*)

SCENA VI.

BRONKA (*wesoła jak dziecko*).

Pewno mi znowu zrobił jaką kosztowną niespodziankę. Muszę się na prawdę na niego pogniewać, bo już mam w bród aksamitów, jedwabi, tych kosztownych materji, któremi mnie zasypuje.

KAZIMIERZ.

Kocha cię, a dla kochającego mężczyzny to wielka rozkosz takie niespodzianki robić. Ale słuchaj, Bronka, tyś mu też

taką niespodziankę zrobiła. Myślałem teraz nad tym, czy mu będzie przyjemna. Tadeusz teraz taki szczęśliwy, a to szczęście we dwoje jest zazdrosne i egoistyczne. Lękam się czasami, że ja wam zawadzam, a cóż dopiero kobieta, która, jak mówiłaś, jest Tadeuszowi obcą...

BRONKA (*żywo*).

Nie... nie... właśnie nie. W tym tkwi cała nasza przebiegłość kobieca. Jeżeli się chce zachować miłość mężczyzny, to trzeba go raz po raz od siebie odsuwać, raz po raz samopas go puścić. Dobrze zrobiłam, dobrze zrobiłam. Ja z Ewą będę się bawiła, grała, czytała, a on niech się włóczy po polowaniu, odwiedza sąsiadów, targuje się z żydami o ceny zboża i wraca codzień z większą jeszcze tęsknotą.

KAZIMIERZ (*ze smutną ironją*).

Nie myślałem, żebyś umiała się posługiwać tak wyrafinowaną taktyką.

BRONKA (*ze śmiechem*).

Wcale nie wyrafinowaną, tylko dobrze wypróbowaną przez nasze matki i babki.

KAZIMIERZ.

Dobrze, dobrze, tylko się lękam, żeby coś Tadeuszowi dziś humoru nie popsuło. Kocham go, gdy widzę w nim tę siłę i ten rozmach życiowy, i tę spokojną równowagę człowieka pewnego siebie, którą posiadł przy tobie.

BRONKA.

O Tadeusza się nie lękaj. Bylebyś ty tylko nie chodził przez cały wieczór, jak półtora nieszczęścia, i bylebyś mnie samej humoru nie psuł. Przeproś, pocałuj w rękę.

KAZIMIERZ (*Trzyma jej rękę, ale nie całuje i patrzy jej w oczy*).

BRONKA.

No, co to ma znaczyć?

KAZIMIERZ.

Nic, pozwalam sobie tylko na ten luksus, by potrzymać twoją dobrą, kochaną, ciepłą rączkę dziecka. To tak, jakby mi coś wokoło serca tajało. (*Całuje ją w rękę. Bronka patrzy na niego przeciągle*).

BRONKA.

Ty, Kaziu, jesteś rzeczywiście bardzo smutny i znużony.

KAZIMIERZ.

Tak to bywa, jeżeli się człowiek nie narodzi pod tym czepkiem szczęścia, pod którym się Tadeusz urodził.

SCENA VII.

(*Wchodzi Tadeusz, rozwija kosztowny jedwabny szal u nóg Bronki.*)

Tym szalem powinienem był zasłać drogę od sanek aż do progu naszego domu, gdyś przed chwilą wybiegła na moje spotkanie. Tymczasem ja, ostatni z ostatnich, zapakowałem tę cudowną tkaninę pod siedzenie i całkiem o niej zapomniałem.

BRONKA (*rzuca mu się na szyję*).

Mój złoty, mój ty słodki, mój ty niepoprawny rozrzutniku!

KAZIMIERZ (*patrzy na nich chwilkę, potym wstaje*).

No zostawiam was waszemu szczęściu, ja tymczasem parę listów napiszę (*do Bronki*). A na kolację, na tę wielką uroczystość, trzeba będzie chyba frak przywdziać.

BRONKA.

A jakbyś ty mi się śmiał inaczej na oczy pokazać?

KAZIMIERZ.

A więc do widzenia! (*wychodzi, zatrzymuje się chwilę przy oknie i mruczy.*) Och, kiedyż ten śnieg padać przestanie! (*obraca się do Tadeusza:*) Ej, Tadeuszu, jakiś ty szczęśliwy, że śnieg ci duszy smucić nie potrzebuje (*wychodzi*).

SCENA VIII.

BRONKA (*patrząc za Kazimierzem.*)

Co Kaziowi brak? On taki dziwnie smutny, zamyślony.

TADEUSZ.

Źle ci z nim? Jeszcześ się do niego nie przyzwyczaiła?

BRONKA.

Ach, wiesz przecie, jak mi dobrze. On tak działa, jak to łagodne, bezżarne słońce jesienne. Trochę z nim smutno, ale dobrze i cicho.

TADEUSZ.

A tak, tak. Ród nasz ginie. On i ja, myśmy ostatnie, słabe, jesienne latorośle na starym, a kiedyś tak krzepkim pniu naszego rodu.

BRONKA.

W Kazimierzu ród wasz ginie, tak, ale nie w tobie. Ach, jakiś ty silny, mocny, jak ci szczęście i moc z twarzy bije.

TADEUSZ (*obejmuje ją, prowadzi do kominka i sadza obok siebie.*)

To twoja miłość, twoja miłość dała mi tę moc i siłę.

BRONKA.

A twoje oczy, jak węgle, płoną, jakbyś cały świat chciał zagarnąć, to znowu takie słodkie i dobre (*bierze jego głowę, tuli do piersi i całuje jego oczy*), żebym je mogła całować—całować bez końca—bez pamięci...

TADEUSZ (*kładzie głowę na jej piersi.*)

Ty moje szczęście jedyne, jak ja kocham tę twoją piękną miłość.

BRONKA (*bawi się jego włosami.*)

Ach, jakie ty masz dziwnie miękkie włosy. Wiesz, mam wrażenie, że się włosów nie dotykam, tylko jakiejś nieskończenie miękkiej, puszystej roślinności... Wiesz, przed dworem mego ojca był kląb takiej delikatnej, puszystej trawy, nie uwierzysz, z jaką rozkoszą tarzałam się w niej. Takbym się w twoich włosach tarzać chciała (*całuje jego włosy*).

TADEUSZ.

A pamiętasz jak się wtedy koń pod tobą spłoszył?

BRONKA.

Byłam w śmiertelnym lęku, straciłam przytomność, a równocześnie czułam dziwną rozkosz być niesioną przez to silne, nieokiełznane, harde, piękne zwierzę.

TADEUSZ.

A pamiętasz, gdym cię tak schwycił i na piersi podrzucił i obnosił dokoła pokoju? (*Bierze ją na kolana, ona obejmuje rękoma jego szyję*).

BRONKA.

Mój ty—ty jedyny. Podobno jest jakiś zwyczaj, że młoda dziewczyna powinna przy ołtarzu płakać, rozpaczać, alem ja nie płakała—krzyczeć, krzyczeć pragnęłam ze szczęścia i uniesienia, krzyczeć z radości, że niezadługo popędzimy sankami w uprzęży twych dzikich ogierów do ciebie, do twego domu...

TADEUSZ.

Pamiętasz tę noc styczniową, niebo się skrzyło, zmarzły śnieg się skrzył, a konie pędziły, że całe pianą były zlane. (*Obejmuje ją coraz silniej*).

BRONKA.

Och, przytul mnie tak, przytul do siebie, tak jak wtedy, gdyś mnie całą pod twoje wilczury schował. (*Odsuwa się nagle od niego*). Ale powiedz, dlaczegoś ty, gdyśmy już w domu stanęli, dostał nagle takiego zimnego, stalowego błysku w oczach?

TADEUSZ.

Kładłem krzyżyk na moją przeszłość.

BRONKA.

Jakąś ty miał przeszłość?

TADEUSZ.

Jaką przeszłość... Ho... bogatą i strasznie smutną przeszłość... całą Golgotę męczarni i bólu, całą Gehennę wewnętrznych walk, szamotań się ze sobą, upadków, rozpaczy, pogardy dla siebie i całego świata...

BRONKA.

Kochałeś kiedy?

TADEUSZ.

Czy ja wiem, czy to była miłość? Może być, że mi się zdawało, że kocham. Nie chcę stawiać teorji co jest miłością, a co nią nie jest, ale zdaje mi się, że w każdej miłości musi być duma, królewska pewność siebie i tej istoty, którą się kocha, a tę pewność uczułem jedynie przy tobie.

BRONKA (*głaszcze go*).

Tadek, bądź szczerym. Mówiłam dziś z Kazimierzem dużo o Ewie.

TADEUSZ (*zdziwiony, trochę chmurny*).

O Ewie?

BRONKA.

Tak, o Ewie. Co się pan mój tak zachmurzył?

TADEUSZ.

Nie, tylko mi się przypomniało, że już w pierwszych tygodniach po ślubie chciałaś się przed nią pochwalić naszym szczęściem, a ja niczego nie pragnę, tylko żyć z tobą, jedynie z tobą, bo szczęście w miłości jest niezmiernie delikatne i może być zakłócone lada drobnostką.

BRONKA (*lękliwie*).

Jaką?

TADEUSZ.

Najczęściej atmosferą obcego człowieka. A ty wiesz, że Ewa bardzo się zmieniła... Kazimierz cichy i smutny, słusznie powiedziałaś, działa dobrze i łagodnie, jak słońce jesienne, ale ona, jak krater, wygasły na pozór, ogień z niego lada chwila wybuchnąć może.

BRONKA.

Skąd ją tak dobrze znasz?

TADEUSZ.

Skąd? Przecież wiesz, że ją raz po raz widywałem. Zaciekawiła mnie, jak Kazimierza jeszcze do niedawna zaciekawiał jakiś nieznany obraz, albo jakiś okaz egzotyczny, kwiat lub zwierzę.

BRONKA (*nieśmiało i lękliwie*).

Tadziu! Tadziu!

TADEUSZ (*zdziwiony*).

No, co, moje dziecko, co?

BRONKA.

Widzisz, słyszałam, że miłość słabnie, gdy ludzie zawsze są ze sobą razem, że potrzeba im chwilowego rozłączenia, że trzeba im raz po raz iść samopas, by miłość w ustawicznej świeżości podtrzymać i by z większą jeszcze tęsknotą do siebie wracali... Nie wiem, co mi tę myśl podsunęło, ale ja chciałabym, byś teraz na polowanie jeździł, byś sąsiadów odwiedzał... a znowu nie mogłabym tak sama cały dzień siedzieć, na ciebie czekać...

SCENA IX.

(*Odchylają się ciężkie portjery, prowadzące do przybocznego pokoju i w drzwiach staje Ewa. Patrzy, trupio-blada, z wyrazem zaciekłego smutku na Tadeusza i Bronkę, którzy, zwróceni w stronę kominka, nie widzą jej.*)

BRONKA.

Czy mam słuszność, Tadziu, co? Powiedz, wszak tak?

TADEUSZ.

Ależ, dziecko drogie, skąd ci się takie myśli wzięły? Czyż może człowiek, po całorocznym pożyciu, więcej kobietę kochać, niż ja cię kocham, i więcej za nią tęsknić, niż ja za tobą?

BRONKA.

Tadziu, twoje listy, twoje najukochańsze, drogie listy... A ten ostatni — taki piękny, jeszcze go na piersiach noszę. *(Wyjmuje list z za stanika i całuje go gorąco).*

EWA *(która się na chwilę wycofała za portjerę przyległego pokoju, stanowiącego zimową oranżerję, przechadza się tam i z powrotem w nerwowym niepokoju. Nagle:)*

Słyszę głosy w pokoju. Dywany wasze za miękkie, byście mogli moje kroki posłyszeć.

TADEUSZ *(zrywa się).*

Co to? Kto to?

EWA.

Można wejść?

BRONKA.

Tadek, co ci się stało? *(patrzy na niego przeciągle i idzie ku drzwiom).* Ale chodźże, chodźże, Ewo, chodź. Och, Jak Tadeusz się ucieszy. *(Rozchyla naoścież portjery. Tadeusz patrzy, jakby śnił. Ewa wchodzi i równocześnie kurtyna zapada).*

Koniec aktu pierwszego.



II

SCENA I.

Ten sam pokój. Zmrok popołudnia zimowego. Za oknem skrzy się biały całun śniegu, na kominku ogień. Scena przez chwilę pusta. Po chwili wchodzą: Tadeusz i Ewa.

EWA (*podbiega do kominka i grzeje sobie ręce.*)

Och, jak mi zimno, jak mi zimno, a zdawało mi się, że się przy was rozgrzeję.

TADEUSZ.

Ty się nigdzie nie rozgrzejesz.

EWA.

Co? Przecież na to przyjechałam, żeby przy waszym szczęściu moje serce rozgrzać.

TADEUSZ (*ironicznie.*)

Aby je móc rozgrzać, trzeba nasamprzód je mieć.

EWA (*przeciągle.*)

Ta-a-k?...

TADEUSZ.

A tak... Ale dajmy temu wreszcie spokój. Przez cały czas naszej przechadzki *(patrzy na zegarek)*, a trwało to przeszło trzy godziny, dosyć już chyba komplementów sobie nagadaliśmy, może zaczniemy o czym innym mówić.

EWA.

Zacznij ty... ale naprzód każ światło zapalić... tu zmrok, melancholijny ogień na kominku... skrzący blask śniegu za oknami, te miękkie dywany, portjery... Ha — ha... to niebezpieczne—to budzi niepokój, wznieca tęsknotę... *(zamyślona, ogląda się dokoła)*. Czyś ty sam to mieszkanie urządzał?

TADEUSZ.

Sam.

EWA.

Z całą świadomością tego, co robisz?

TADEUSZ.

Z całą.

EWA.

A wiesz, że twoje mieszkanie jest kopją mojego.

TADEUSZ.

Wiem.

EWA.

A dlaczegoś to zrobił?

TADEUSZ.

By moich sił spróbować, przekonać się, żem już odwykł, zapomniał, zdusił zmorę w sobie.

EWA (*uśmiechając się.*)

I na to też powiesiłeś w pracowni obraz, przeze mnie malowany, który ci darowałam?

TADEUSZ.

Byłaś w mojej pracowni?

EWA.

Przez noc całą w przeddzień twego przyjazdu.

TADEUSZ.

I coś tam robiła?

EWA.

Com ja robiła?... Byłam szczęśliwa, że mnie kochasz i za mną tęsknisz.

TADEUSZ.

Tym razem mocno się pomyliłaś.

EWA.

Nie, nie, ja się nie pomyliłam. Twoja pracownia wygląda raczej na tę świątynię, w której godzinami całemi odrywasz się od twojego szczęścia, od twego ciepłego zakątka, od koralowych ust Bronki, aby tam szarpać sobie serce i tęsknić za tym, co ci dziwną rozkosz sprawia, wszystkiemi siłami

pragnąć tego, co ci krew w szał wpędza. Och! pragnąć, tęsknić, tęsknić...

TADEUSZ.

Za czym?

EWA.

Za tym, co ci ból i pragnienie niezaspokojone sprawia. Tyś do walki stworzony—tyś marzył kiedyś być wodzem, nowe światy tworzyć. Przystanąć na to tylko, by śród trupów i rumowisk zdjąć szyszak z głowy, by tylko uznojone czoło obetrzeć... Nie dla ciebie ciche zakątki, miękkie dywany, wesołe kominki. Dobre to dla twego brata, któremu dusza spopielała.

TADEUSZ (*patrzy na nią poważnie.*)

Przedewszystkim, powiedz mi, pocoś tu przyjechała? Bo przecież chyba nie masz takich zbrodniczych instynktów, by przemocą burzyć szczęście dwojga ludzi, i to człowieka, któremu o mało co życia nie zniszczyłaś.

EWA (*śmiejąc się pusto.*)

O mało co... Jaka szkoda, żem cię tak prędko z moich rąk wypuściła.

TADEUSZ.

Tyś mnie nie puszczała, ja się sam oderwałem.

EWA (*zamyślona patrzy nieruchomie w ogień.*)

Tak, to prawda. Podziwiałam twoją siłę i wtedy dopiero cię pokochałam...

TADEUSZ (*śmieje się szyderczo.*)

Wiem już, wiem. Ale pozwól tylko, bo mi ustawicznie przerywasz. Odpowiedz mi wreszcie na moje pytanie: po coś tu przyjechała?

EWA.

To nie wiesz, że Bronka usilnie mnie prosiła? Że może nawet uciekła się do niewinnego kłamstwa, by mnie tu sprowadzić: pisała mi, że jest chora.

TADEUSZ.

Nie powinnaś była przyjeżdżać.

EWA (*zdziwiona.*)

Dlaczego? Przecież mnie ustawicznie wołałeś, przecież ustawicznie za mną tęskniłeś!

TADEUSZ.

Ja za tobą tęskniłem, ja ciebie wołałem!? Ależ ja zupełnie o tobie zapomniałem.

EWA (*smutno.*)

Tyś o mnie nie zapomniał. Cały twój dom jest mną przesiąknięty. Jak tylko przekroczyłam próg twego domu, czułam, że to mój dom, że tu niepodzielnie panuję, że sama jedna wypełniam wszystko naokół.

TADEUSZ.

Ha... ha... myślisz o meblach. No, więc ci powiem, że umyślnie starałem się wzorować na twoich pokojach, bo, widzisz,

jeżeli naprzykład pijak odzwyczaja się od wódki i chce się przekonać, czy się rzeczywiście odzwyczaił, to, pomimo wstrętu, wypija raz po raz jeden, dwa kieliszki. Jeżeli nie zapragnie całej flaszki, to znak, że się z pęt nałogu wyzwolił. Rozumiesz? Umyślnie tak się urządziłem, by wszystko mi ciebie przypominało...

EWA (*złośliwie.*)

A jednak...

TADEUSZ.

Jednak nigdy o tobie nie myślałem, nawet we śnie mi się nie zamajaczyłaś.

EWA (*dorzuca gałęzi do ognia, jakby nie słyszała, co Tadeusz mówi.*)

Nacierpiałeś się, biedaku. W twojej duszy musiała być straszna kłótnia i swar i rozterka. Mieć wszystkie warunki do szczęścia i być bogatym, mieć wszystko na skinienie, przytym żonę, która kocha i którą się kocha... A kochasz ty ją rzeczywiście? Możeś ty tylko syt walki, i bólu, i cierpień, a teraz przez chwilę śród trupów i rumowisk zdjąłeś bojowy szyszak i ocierasz potem uznojone czoło?

TADEUSZ (*szyderczo.*)

Bawiły mnie kiedyś twoje przenośnie, dziś mi już nic nie mówią.

EWA (*nie zważając.*)

Tyś tylko dlatego szczęśliwy, by móc spocząć w najzieleńszej z dolin, by góry szturmować... (*odwraca się znowu zamyślona do komina*). Ach, jakbym ja cię wtedy kochała.

TADEUSZ.

Słuchaj, Ewa, ty musisz opuścić mój dom. Przestańmy się bawić w domyślniki i niedopowiedziane słówka. Wiesz, jak cię kochałem. Śnieg, biały, miękki śnieg, przypruszył wszystkie wspomnienia, i ból, i walki, i cierpienia, a gdy śnieg zniknie...

EWA.

No, to i cóż?

TADEUSZ.

To byłoby źle.

EWA.

Dla kogo?

TADEUSZ.

Dla ciebie, dla mnie, a przedewszystkim dla Bronki.

EWA (*przeciera sobie czoło.*)

Dla Bronki, dla Bronki. Och, ja ją bardzo kocham... *(po chwili)* Bronka będzie bardzo nieszczęśliwą...

TADEUSZ (*podchodzi ku niej i siada obok niej*).

Słuchaj, ale słuchaj dobrze i postaraj się zrozumieć to, co ci powiem. Masz zwyczaj udawać, że nie słyszysz, ale teraz bądź łaskawa poświęcić ten piękny zwyczaj, bo ta zabawka nie na miejscu.

EWA (*obojętnie.*)

Słucham i postaram się zrozumieć.

TADEUSZ.

Przyznam się szczerze, że jestem rzeczywiście rozdrażniony i zaniepokojony, więcej ci jeszcze powiem, często nawet myślałem o tobie, tęskniłem nawet za tym cierpieniem, któreś mi dawała, być może tęskniłem za tą męką, którą przy tobie przeżyłem, ale teraz zostaw mnie w spokoju. Bronkę kocham, przy Bronce zostanę.

EWA.

Zostaniesz, to ją zamęczysz. Rany w twoim sercu odnowiły się, lecisz w ogień, jak ćma, od chwili, jak posłyszałeś mój głos za tą kotarą, runął od razu ten pałac z kart, który tak mozolnie i z takim trudem wybudowałeś, a nazwałeś swoim szczęściem (*ironicznie*). He... he... mnie nie okłamiesz. Tobie ciasno tu w tym cichym, ciepłym zakątku. W tobie rwie się wszystko, zapory łamać, światy zdobywać! Tyś ostatni z tego wielkiego, pięknego rodu Conquistadorów, którym głupi zakątek, zwany Europą, nie wystarczał.

TADEUSZ (*zgryźliwie*).

Pięknie dziękuję za te nowe światy, które mogę zdobyć tym, że wyrżnę jakieś niewinne, głupie stado baranów.

EWA.

To nie to. Trzeba nasamprzód morze ujarzmić, góry rozkopać, trzeba przejść wszystkie męczarnie i wszystkie rozkosze, by się ten nowy świat przed oczyma odsłonił, a to, że przypadkowo taki Conquistadore żelazną nogą nastąpi na jakiś kwiat, cóż to znaczy (*przeciągle i jakby ospale*). Cóż z tego,

że wytnie się, choćby najpiękniejszy las, by oczy swoje nowym i nieznanym jeszcze cudem upoić...

TADEUSZ.

I cóż dalej... dalej...

EWA.

Zwolna... zwolna... *(nagle śmieje się)*. Ha... ha... jak się w tobie ustawicznie burzy namiętna, żarna krew Conquistadora *(patrzy na niego i znowu opada)*. Trzeba naprzód morze ujarzmić, góry rozkopać, żelazną stopą zgnieść jakiś kwiat.

TADEUSZ *(groźnie.)*

O Bronce myślisz?

EWA *(milczy, rozgrzebuje łopatką ogień i dorzuca świeżych gałęzi.)*

TADEUSZ *(tajemniczo.)*

O Bronce?

EWA *(obojętnie.)*

Zgadłeś.

(Milczenie, podczas którego Tadeusz wzburzony przechadza się po pokoju.)

TADEUSZ *(podchodzi ku niej.)*

Ewo, proszę cię, błagam, zostaw nas w spokoju.

EWA.

Ależ ty już spokoju mieć nie będziesz.

TADEUSZ.

Wiem, wiem już o tym, ale Bronka go będzie przynajmniej miała.

EWA.

Widzisz, Tadeuszu, tyś już oślepł na wszystko, co cię otacza. Czy nie widziałeś, jak cię śledziła niespokojnemi oczyma, jak jej oczy wylękłe, jak spłoszone jaskółki, spoczywały na mnie i na tobie... Och, ja ją bardzo kocham... Nie widziałeś, jak była podniecona tym nienaturalnym podrażnieniem, jak się ustawicznie zwracała do Kazimierza, jakby u niego pomocy szukać chciała...

(*Milczenie, Tadeusz chodzi ustawicznie wzdłuż i wszerz pokoju.*)

TADEUSZ.

Hm... sądzisz więc, żem na to stworzony, by nowe światy zdobywać. Po co?

EWA.

By żyć pięknie i być pięknym.

TADEUSZ.

A jeżeli się nie umie zdobyć?

EWA.

To legnie się, i to jest pięknym.

TADEUSZ.

A jeżeli to wszystko jest daremną szarpaniną, bezmyślnym niszczeniem siebie i wszystkiego naokół?

EWA.

I to jest piękne. Człowiek, który się szarpie i targa, męczy i pragnie czegoś, chociaż nie osiągnie nigdy celu, jest piękny.

TADEUSZ.

A jeżeli pragnie tylko ciszy, spokoju, cichego zakątka, ciepłego kominka?

EWA.

To dla Kazimierza.

TADEUSZ.

A dla mnie?

EWA (*patrzy przeciągle na niego i uśmiecha się.*)

Dla ciebie?—ja—tylko ja—jedyna ja.

TADEUSZ (*zatrzymuje się przed nią; stłumionym głosem.*)

Dlaczego, dlaczego wtedy, gdym wszystko kładł u twych stóp, wtedy, gdym z tobą i przez ciebie mógł był zdobyć te nowe światy, o których mi teraz mówisz, dlaczegoś mnie wtedy odpychała i odrzucała?

EWA.

Boś nie umiał być moim panem.

TADEUSZ.

A teraz?

EWA.

Teraz cię kocham, kocham za to, żeś chciał o mnie zapomnieć, za to, żeś chciał się przełamać, bo tylko silni umieją się

przełamać. Kocham cię całą tęsknotą i lękiem, że nie zechcesz być moim.

TADEUSZ (*śmieje się nerwowo.*)

Trzeba lampę zapalić. Bronka lada chwila nadejdzie. Gotowa twoje literackie urojenia urzeczywistnić i mnie posądzić, że spędzam z tobą słodkie „heures de confidence". (*Zapala lampę. Milczenie.*)

EWA (*obojętnie.*)

Długo się tak po świecie włóczyłeś?

TADEUSZ (*patrzy na nią zdziwiony, ale wpada w ten sam ton.*)

A długo, prawie dwa lata.

EWA.

Podobno w Afryce byłeś?

TADEUSZ (*szyderczo.*)

Byłem, ale tam wszystko, co było do odkrycia, to już Stanley odkrył, a ja się zabawiałem polowaniem na tygrysy... Masz rację... ha... ha... ha... Ja jestem stworzony na Conquistadora. Kiedy w moich oczach tygrys dwuch murzynów rozszarpał, tom doprawdy nie miał uczucia tryumfu...

EWA (*szyderczo.*)

Tylko?

TADEUSZ.

I... najprostsza myśl przeleciała mi przez głowę, że teraz na mnie kolej przyjdzie.

EWA (*drwiąco.*)

I nie miałeś broni przy sobie?

TADEUSZ (*tym samym tonem.*)

Naboje zamokły.

EWA.

I nie lękałeś się śmierci?

TADEUSZ.

Pragnąłem jej. Toć to także piękne—być rozszarpanym przez jakieś królewskie zwierzę.

EWA.

Tak, to piękne... Ale słyszę, że Bronka wraca. (*Słychać, jak drzwi od przedpokoju się otwierają; głośna rozmowa Bronki z Kazimierzem.*)

SCENA II.

Bronka i Kazimierz wchodzą.

BRONKA (*sztucznie podniecona.*)

Ach, gdybyście wiedzieli, co za cudna jazda była. Och, te skry śniegu zmarzłego na lodzie, księżyc, księżyc... ach, jakie to cudowne. Co, Kaziu, sam mówiłeś, że to cudowne. (*zwrócona do Ewy.*) Jutro koniecznie musisz iść z nami, to wszystko jakby dla ciebie stworzone: śnieg, księżyc i Kazio, Kazio. Ha... ha... ha... patrz, Kazio taki znudzony, a nie widziałam człowieka, któryby się tak pięknie ślizgał.

KAZIMIERZ.

Bronka, jak zwykle, przesadza, wcale tak cudownie nie było. Staw nie był cały zamieciony, a kochana moja bratowa bawiła się tym, żeby brnąć w śniegu po kolana.

BRONKA *(roztargniona)*.

Ach, jak on kłamie, jak on kłamie... O ty niedobry... *(nagle do Tadeusza)*. Tadziu, możeś niezadowolony, że tak długo pozwoliłam sobie wolności używać? Ale widzisz, kochanie, wiedziałam, że jesteś z moją drogą Ewą, chciałam umyślnie, byście razem zostali, chciałam, żebyś wreszcie po roku zrzucił ten kitel chreczkosieja i z Ewą pobujał tam, gdzie mnie biednej za wysoko (*tuli się do Ewy*). Och, jakaś ty, Ewo, szczęśliwa, tyś całkiem inna, niż my wszystkie. Ach, jak cię dobrze pamiętam, wtedy, gdy po moich zaręczynach przyjechałam do ciebie. Słyszysz, Tadziu? Pokój był taki sam, taki samiuteńki, jak ten, w którym teraz siedzimy... (*jakby się ze snu budziła*). Ewa, to dziwne, ten pokój był zupełnie tak samo umeblowany, jak nasz.

EWA.

Ależ, Broniu, cóż w tym dziwnego, to chyba już zupełnie przypadkowe.

TADEUSZ *(zimno.)*

Widocznie ten sam tapicer urządzał mieszkanie panny Ewy i moje.

BRONKA.

Hm... oczywiście. Pamiętasz, Ewciu, jak siedziałyśmy przy kominku? Patrzyłaś w ogień, a ja ci opowiadałam bez

końca, bez końca, nie wiem już nawet, co paplałam, tyś była taka dobra, taka cierpliwa... (*wybucha nagle śmiechem, Tadeusz podchodzi ku niej czule.*)

TADEUSZ.

Co tobie, dziecko kochane, coś ty dziś taka nerwowa?

BRONKA.

Widzisz, jabym chciała latać, latać wysoko, jak ptak, a tylko tak biję skrzydłami o ziemię i tak tęsknię i tak pragnę, pragnę się wzbić, a skrzydła, jak ołów... (*do Ewy*). Ach, Ewo, jakaś ty szczęśliwa.

KAZIMIERZ.

Widzisz, nie mówiłem ci, że taki forsowny sport jest niezdrowy? Tyle cię nabłagałem, naprosiłem, nie chciałaś mnie słuchać, a teraz będziesz musiała tę całą romantyczną ślizgawkę odpokutować.

BRONKA (*uparcie*).

Otóż nie, właśnie nie, ja mam dosyć tych nerwowych przypadłości, jestem głupie, rozkapryszone dziecko (*wybucha nagle płaczem, wybiega do przyległego pokoju. Ewa się zrywa, chce iść za nią.*)

TADEUSZ.

Niech pani tu pozostanie, ja ją sam wkrótce uspokoję. (*Wychodzi za Bronką.*)

SCENA III.

KAZIMIERZ (*niespokojny.*)

Bronka chyba chora, cały dzień była niespokojna, taka jakaś sztucznie podniecona...

EWA.

Sama jestem zdziwiona, nie widziałam jej jeszcze takiej.

KAZIMIERZ (*nagle*).

Ale pani zauważyła, że Bronka od wczoraj się zmieniła?

EWA.

Przed chwilą powiedziałam to samo bratu pana.

KAZIMIERZ.

Zauważyła pani jej niepokój wczoraj podczas wieczerzy i dziś przez cały dzień?

EWA.

Właśnie, zdziwiona jestem.

KAZIMIERZ.

I nie przypuszcza pani, coby mogło być przyczyną tej nagłej zmiany?

EWA.

Nie.

KAZIMIERZ.

Hm... Ale pani zauważyła pewno, że i Tadeusz nieswój, zamyślony, roztargniony...

EWA.

Innego go nie znałam.

KAZIMIERZ.

Ale ja za to: przyjechał wesoły, szczęśliwy, stęskniony za Bronką, dawno go już nie widziałem tak pewnego siły i wiary w siebie i swe szczęście.

EWA.

Więc co?

KAZIMIERZ (*patrząc bystro na nią.*)

Otóż nie rozumiem takiego nagłego przełomu.

EWA.

Pan, zdaje mi się, mnie przypisuje winę tej nagłej zmiany humoru?

KAZIMIERZ.

Czy zauważyła pani, że Bronka dziś na śniadanie przyszła z zaczerwienionemi oczyma? Mógłbym przysiąc, że całą noc płakała.

EWA.

Pan sądzi, że ja temu jestem winna?

KAZIMIERZ.

Ale gdzież tam, ani mi przez głowę nie przeszło panią o coś posądzać... Otóż tu chodzi zupełnie o co innego... Nie chciałbym, aby pani choć na sekundę myślała, że ja mam zamiar

panią badać, ale od wczoraj tak dziwnie i widocznie sytuacja się zmieniła... Czuję w powietrzu jakąś mglistą zagadkę, którą radbym rozwiązać... Widzi pani, jestem człowiekiem nerwowym, a tacy ludzie nie znoszą parności przed burzą.

EWA.

Parności przed burzą?

KAZIMIERZ.

Tak, tak, wszystko jedno jak to nazwiemy, w każdym razie, jest coś w powietrzu, co taka wrażliwa dusza, jak Bronka, instynktem odczuwa... O, słyszy pani, jak płacze?

(*W przyległym pokoju widać Tadeusza jak tuli Bronkę do siebie i stara się ją uspokoić. Milczenie.*)

KAZIMIERZ (*nasłuchując z coraz większym niepokojem.*)

EWA (*zrywa się i chodzi również niespokojnie po pokoju.*)

KAZIMIERZ (*idzie za nią.*)

Słyszy pani?

EWA.

Cicho... cicho...

KAZIMIERZ (*bierze ją za rękę, prowadzi ku oknu.*)

Bądźmy szczerzy, ja pani nie znam, ale to, co słyszałem od Bronki i od Tadeusza wystarczy mi, by sobie dość jasne pojęcie o duszy pani odtworzyć.

EWA (*obojętnie.*)

Panie, nie męcz mnie pan teraz. Ja wiem przecież wszystko, co mi pan chce powiedzieć.

KAZIMIERZ.

Nie, nie, pani tego nie wie... Ja nigdy się nie mieszałem do niczyich spraw, nawet do takich, które moich najbliższych, najukochańszych, a więc Bronki i Tadeusza dotyczą...

EWA.

Więc mówmy otwarcie: pan wie od Tadeusza, że jego i mnie łączyły ścisłe stosunki, wiem, że często do pana listy pisywał, w których oczywiście odsłonił przed panem stan swojej duszy z przed trzech, czterech lat. Pan wie o tem, że mnie kochał. Pan wie również, że taką miłość śnieg przypruszyć może, ale na to, by ją ogrzać, silniejszą i namiętniejszą jeszcze uczynić.

KAZIMIERZ.

To właśnie chciałem powiedzieć.

EWA.

Bronka opowiadała panu, że ją szalenie kochałam, że byłyśmy nierozdzielne w pensjonacie. Wszak to wszystko panu powiedziała?

KAZIMIERZ.

Tak. Wczoraj długo o tym mówiła.

EWA.

Szczery pan jesteś, więc i ja będę szczerą. W parę lat później przyjechała jeszcze do mnie, jako narzeczona Tadeusza, rozkoszna, szczęśliwa, och, tak szczęśliwa, że chociaż moje serce darło się na strzępy, pogodziłam się z tą myślą, że zostanie żoną człowieka, którego ja tak namiętnie kochałam.

KAZIMIERZ.

Pani go kochała?

EWA.

Tak, wtedy, gdym go utraciła... (*patrzą chwilę na siebie*). A teraz pan chce się zapytać, dlaczego przyjeżdżam burzyć szczęście mojej przyjaciółki, nieprawdaż?

KAZIMIERZ.

Może być, że przez chwilę nasunęło mi się takie pytanie, ale to przecież zupełnie niedorzeczne... mówię otwarcie, że zbytniej sympatji do pani nie żywię. Nie, nie, nie to chciałem powiedzieć. Tylko, że mamy bardzo mało wspólnych cech, ale to mi nie przeszkadza być sprawiedliwym... (*nagle*). Pani zawsze tęskniła?

EWA (*głowę oparła o szyby okna, milczy.*)

KAZIMIERZ.

Pani zawsze rwała się do czegoś, o czym pani wiedziała, że dosięgnąć nie może.

EWA (*odwraca się ku niemu i milczy.*)

KAZIMIERZ.

Całym pragnieniem życia pani — związać i wlec za sobą człowieka, który z nigdy nieugaszoną tęsknotą na oślep za panią pójdzie.

EWA (*gorąco.*)

Tak.

KAZIMIERZ (*bystro*).

I tym człowiekiem jest Tadeusz?

EWA (*z siłą.*)

Tak!

KAZIMIERZ (*bystro*).

A Bronka?

EWA.

Słyszy pan, jak się teraz szczęśliwie śmieje... Wie pan, co teraz nastąpi?

KAZIMIERZ.

No?

EWA.

Wejdzie Bronka, rzuci mi się na szyję i będzie mnie tak gorąco, gorąco przepraszać, że scenę zrobiła... Panie... księżyc świeci — podaj mi pan moje futro... przejdźmy się trochę... znajdziemy może jeszcze szczersze akcenty w naszych zwierzeniach (*patrzy długo na Kazimierza*). Pan — wszak się pan nie zaprze tego?

KAZIMIERZ.

Czego?

EWA.

Pan Bronkę kocha!

KAZIMIERZ (*patrzy przeciągle na nią.*)

Tak.

EWA.

Słyszy pan jej śmiech? Och ten piękny, srebrny, dziewczęcy śmiech.

KAZIMIERZ.

Chodźmy już, chodźmy.

SCENA IV.

Bronka i Tadeusz wchodzą, trzymając się pod rękę, weseli i szczęśliwi — na pozór.

BRONKA (*do Ewy.*)

Droga, kochana moja Ewciu. Tak dawno przecież już mnie znasz. Wyście wszyscy byli za dobrzy dla mnie. Tyś mnie psuła swoją dobrocią. Tadeusz doszczętnie mnie zepsuł. Ewuchna, ty wiesz, że ja jestem warjatka, mam takie chwile, w których jestem całkiem niepoczytalna.

EWA.

Czemuś taka smutna, za co ty mnie przepraszasz? (*głaszcze ją po twarzy*). Och, ty mimozo moja, jakaś ty nerwowa i przeczulona...

BRONKA.

Dzieciakowi można było wybaczyć, że nie może zapanować nad swojemi kaprysami, ale mnie—niewolno (*nerwowo, szybko i bezładnie*). Widzisz, czasem mnie takie ciężkie myśli opadają. Nie, to nie to, to nie to. To tak jest, jak wtedy... Nie, to nie jest właściwie przeczucie nieszczęścia... to tylko dalekie, dalekie wspomnienie tych strasznych godzin, jakie dzieckiem przeżyłam, kiedy nadaremnie po całym folwarku szukałam mej siostry. Wiedziałam, że się coś złego z nią stało. Czułam to, czułam. Las cały obszukałam, cały brzeg rzeki obleciałam, wróciłam przerażona i zdyszana do domu (*coraz więcej przerażona, tuli się coraz silniej do Ewy*). Ewciu! Ewciu! zdawało mi się, że coś mnie ściga, że coś mnie targa za włosy... padłam przed werandą w trawę. Twarz całą wtuliłam w dłonie, aby nie spojrzeć za siebie, a oni szli... szli...

EWA.

Kto?

BRONKA.

Chłopi, a przy nich niańka moja, i nieśli na noszach moją ukochaną siostrę... utopiła się w stawie...

EWA (*mimowoli.*)

W stawie?

BRONKA.

Tak—tak—w stawie (*do Tadeusza*). Każ zasypać ten staw. Ustawicznie przypomina mi się ten czarny, głęboki ślep' naszego stawu...

TADEUSZ.

Uspokój się, Bronka, uspokój się, zrobię wszystko, czego zapragniesz. Chcesz, to wszystko tu naokół z ziemią zrównam (*nagle poirytowany, patrząc bystro na Ewę, czego Bronka, przytulona do Ewy, widzieć nie może*). Tak, zrobię to. Stawy ziemią zasypię, drzewa powycinam...

EWA.

A może pan i śnieg z ziemi zmieść każe? Och dzieci, dzieci... Teraz na pana Tadeusza przyszła kolej podrażnienia.

BRONKA.

Tadziu, czym ja cię dziś podrażniłam?

TADEUSZ.

Ależ, Bronuś kochana, tyś mnie niczym nie podrażniła, wiesz tylko, żem zawsze smutny, gdy widzę, że o tych wszystkich bolesnych wrażeniach swego dzieciństwa przy mnie zapomnieć nie możesz.

EWA (*głaszcząc ją po twarzy.*)

Zapomnij, zapomnij. Pozostawcie mnie, panowie, na chwilę z Bronką, uspokoi się przy mnie.

KAZIMIERZ.

Pani ma słuszność, chodź, Tadeuszu.

TADEUSZ.

Uspokój się, uspokój, Bronuś.

BRONKA.

Patrz, już jestem spokojna, ale idźcie już, mnie tu z Ewą będzie dobrze, ona jedyna umiała mnie zawsze uspokoić.

(*Kazimierz i Tadeusz wychodzą.*)

KAZIMIERZ (*zwraca się przy drzwiach.*)

Panno Ewo, pani miała ochotę przejść się po parku!

EWA.

O, później, później, jak Bronka już całkiem będzie spokojna.

BRONKA.

A to pójdziemy wszyscy razem.

EWA.

Nie, nie, kochanie, ja chcę ci być miłym gościem, młodemu małżeństwu gość może bardzo przeszkadzać, gdy za dużo zmusza ich do tego, by go bawić (*wciąż ją głaszcze*). Ciebie czarny ślep' stawu straszy, a tu tak miluchno w tym kąciku z mężem razem.

(*Kazimierz wychodzi już przy pierwszych słowach.*)

SCENA V.

BRONKA.

Ewciu, czy ja jestem bardzo nieznośna?

EWA (*zamyślona.*)

Nie, nie, tylko mnie dziwi ten twój nagły wybuch.

BRONKA.

Nie bierz mi niczego za złe, Ewciu.

EWA.

Nie. Nawet wtedy...

BRONKA (*jakby odgadując jej myśl*).

Kiedy?

EWA.

Nawet wtedy, gdyby ta zmiana, która zaszła w tobie... (*urywa*). Bądź szczerą, ty masz jakiś nieokreślony lęk... może to nie lęk, ale nie widzę tego zaufania, które miałaś zawsze do mnie.

BRONKA (*po chwili.*)

Jestem szczera, wszystko ci szczerze powiem... Widzisz, tyś się tak zmieniła...

EWA (*uśmiechając się.*)

Zmieniłam się?

BRONKA.

Tak mi trudno doszukać się w tobie mojej ukochanej Ewy z przed paru lat. Mam chwile, że mi się zdaje, iż cała wiecz-

ność spłynęła od tego czasu, kiedyś mnie tak serdecznie do siebie tuliła i moją radość odczuwała, że Tadeusz bierze mnie za żonę.

EWA (*mimowoli.*)

Tak, to już cała wieczność spłynęła.

BRONKA.

Widzisz, ja patrzę tak bezradnie i z takim lękiem na dno tej wieczności. Widzisz, widzisz, dlatego mi się ten czarny ślep' stawu przypomniał. (*Ewa głaszcze ją po włosach*). Może się trochę zaziębiłam. Może nie jestem całkiem przytomna, ale dotknięcie twych rąk czuję inne, inne niż dawniej. Dawniej było to, jakbyś mnie miłości stygmatem przepalić chciała, bo wiesz, są dotknięcia, które parzą, jak rozpalone żelazo, a teraz takie obce i dalekie... Wiesz, wiesz. O, czekaj tylko: to jakby tęsknota jesieni z kasztanowych alei żółte listowie zgarniała...

EWA.

Tęsknota?

BRONKA.

Tak, tęsknota! Ach, jak mnie przeraża twoja tęsknota! Pamiętasz, gdyśmy były razem w pensjonacie, lękałam się twojej gwałtownej i zazdrosnej miłości, teraz się twojej tęsknoty obawiam. Powiedz mi tylko, Ewa, dlaczego ja się zawsze ciebie lękać musiałam?

EWA.

Posłuchaj mnie, ty jesteś teraz rozdrażniona, ale ja wszystko w tobie rozumiem. Nie czuję świadomie najmniejszej zmia-

ny wobec ciebie, ale może być, że rzeczywiście się zmieniłam... Nie jesteś moją, niepodzielnie moją, jak dawniej... ty kochasz męża, może nieświadomie lękasz się czegoś nieuchwytnego... A ja wiem (*nagle śmieje się*). A może ty, kochanie, jesteś zazdrosną? No, co? Powiedz mi szczerze.

BRONKA.

Nie, nie, nie jestem zazdrosną, ale rzeczywiście czegoś się lękam...

EWA.

Czego?

BRONKA.

Twojej piękności...

EWA.

Co to znaczy?

BRONKA.

Co to znaczy? Widzisz, mogłaby być kobieta piękną, o, najpiękniejszą ze wszystkich kobiet na świecie, a nigdybym się nie lękała, bo wiem, że Tadeusz ani okiem na taką piękność nie rzuci. Aleś ty inaczej piękna... Przy tobie budzą się tęsknoty i pragnienia, których się nie znało. Ty możesz przykuć i ciągnąć za sobą człowieka, choć nie wiesz, że ktoś w twoje ślady idzie, a on znów nie wie, dokąd go twój urok zaprowadzi... a jednak idzie na ślepo... przed siebie... dalej... dalej...

EWA.

I dokąd?

BRONKA.

Ja nie wiem, nie wiem. Widzisz, ja tego wszystkiego nie rozumiem, ja tylko umiem czuć. Coś mi całą duszę rozpiera, głowę mi rozsadza, a ja nie wiem, co to jest... (*zamyślona*). Kazio mówił mi dzisiaj, że jest jakiś punkt, w którym wszystkie sprzeczności z sobą się zlewają... nie pamiętam dobrze, jak on to powiedział, ale coś takiego, że sfera nieskończenie wielka staje się płaszczyzną, a ja myślałam o tym, że ten czarny lej stawu może się tak w nieskończoność pogłębić, że to, co było dołem, zlewa się z niebem... (*zamyślona*). Dokąd? Albo w czarną otchłań stawu, albo wzwyż, wzwyż, ku majestatowi nieba...

EWA.

Skąd ci te myśli?

BRONKA (*patrzy nagle bystro na nią, a potym się uśmiecha.*)

Tak, tak, Ewciu, nie możemy siebie odnaleźć... (*nagle tkliwie*). Patrz, teraz, kiedy się coś jaśniejszego wyłoniło z moich przeczuć, lęków, kiedy poczynam odgadywać to, co w głębi mojej nurtowało, a na wierzch wydobyć się nie mogło, teraz tak ci jestem wdzięczną... znowu wydajesz mi się bliższą... Ale dziwne... i we mnie poczyna się jakaś tęsknota budzić... A może ja za słaba, by móc tęsknić? By móc znieść męczarnię tęsknoty?

EWA.

Za czym ty możesz tęsknić? Czyż wszystkie twoje tęsknoty nie zostały już spełnione?

BRONKA.

Jedna jeszcze nie.

EWA.

Wiesz jaka? Znasz ją?

BRONKA.

Jeszcze nie, jeszcze nie!

(*Milczenie.*)

SCENA VI.

KAZIMIERZ (*wchodzi, niespokojny do Bronki.*)

No, już się kochana moja bratowa uspokoiła?

BRONKA (*przeskakując nagle do wesołości.*)

Idź sobie, chcesz mnie znowu podrażnić. Dosyć już mam twojej filozofji o tych sprzecznościach, które się w jakimś punkcie ze sobą zlać muszą.

KAZIMIERZ (*żartobliwie.*)

Niebardzo ściśle się wyraziłaś, ale swoją drogą sama na sobie możesz ten fakt zauważyć. Przed chwilą smutna, kapryśna, już jesteś teraz wesoła...

BRONKA.

Tobie tego doprawdy nie mam do zawdzięczenia, bo ty swoją znudzoną miną możesz człowieka do rozpaczy doprowadzić?

KAZIMIERZ.

Czekaj, jutro jeszcze więcej znudzoną minę u mnie zobaczysz.

BRONKA.

Pięknie dziękuję.

KAZIMIERZ (*do Ewy.*)

No, może się pani teraz ze mną przejdzie. Tadeusza zaprzągłem na chwilę do roboty w jakiejś majątkowej sprawie, o której żadnego nie mam wyobrażenia.

EWA.

A ty, Bronka, zapomnij twych urojeń, spocznij, spocznij... (*obejmuje Bronkę, kładzie ją na szezlągu i przykrywa szalem.*)

BRONKA.

Och, jak mi dobrze, jak mi dobrze.

(*Ewa i Kazimierz wychodzą.*)

SCENA VII.

BRONKA (*leży chwilę, podnosi się zwolna na szezlągu, nasłuchuje trwożnie, potym z za stanika wyjmuje list, patrzy na niego, całuje go, zakrywa twarz listem i płacze cicho.*)

Tadziu, mój Tadziu jedyny!

Zasłona spada.



III

SCENA I.

BRONKA, TADEUSZ.

(Przez okna, jasno oświetlone, widać, jak zwolna idą przez oszkloną oranżerję do salonu. Wczesny poranek. Słońce czerwieni się na śniegu po za oknami. Bronka wchodzi pierwsza, opiera się o szezląg.)

BRONKA.

Nigdzie spokoju, nigdzie spokoju znaleźć nie mogę.. Nigdzie, nigdzie. A tak się chciałam do ciebie przytulić i ukojenie przy tobie znaleźć... Tadziu — Tadziu... Co się z nami stało?

TADEUSZ.

Ależ, dziecko drogie, kochane... Czy nie możesz zrozumieć, że jesteś podrażniona? Czyś zapomniała już, jak płakałaś, gdym na jeden tydzień odjeżdżał od ciebie?

BRONKA.

O nie, nie. To było co innego... Wtedy to był tylko taki żal rozpieszczonej kobiety i obawa tej strasznej tęsknoty, gdy

cię przez tydzień cały, pomyśl tylko, przez tydzień cały widzieć przy sobie nie będę.

TADEUSZ.

A teraz, cóż teraz? Przecież jestem przy tobie, dniem i nocą jestem przy tobie.

BRONKA.

A dusza twoja gdzie błąka?

TADEUSZ.

Moja dusza? *(poważnie)* Zawsze i zawsze przy tobie.

BRONKA *(gwałtownie)*.

Przy mnie? Powiedz mi raz jeszcze, że zawsze, zawsze dusza twoja przy mnie.

TADEUSZ *(mocno.)*

Zawsze! *(chodzi wzdłuż i wszerz pokoju, głęboko zamyślony, Bronka śledzi jego ruchy.)*

BRONKA.

Zawsze przy mnie?

TADEUSZ.

Mówię ci szczerze, żem raz po raz dawniej już czuł taką wielką tęsknotę, która mi serce i mózg szarpała...

BRONKA *(przerywa gwałtownie.)*

Tęsknotę!? I ty czułeś tęsknotę. Za czym, za czym ty czułeś tęsknotę?

TADEUSZ.

Uspokój się, Bronuś, wiesz nadto dobrze, jak cię kocham. Tęsknoty za nikim czuć nie mogłem, prócz...

BRONKA *(z krzykiem.)*

Prócz... powiedz mi!

TADEUSZ *(głaszcze ją.)*

Prócz... za tęsknotą...

BRONKA *(wstaje.)*

Co?—tęsknotę za tęsknotą!! Co to ma znaczyć?

TADEUSZ.

Nie bądź tylko tak przerażona. Pozwól-że z sobą spokojnie pomówić... Siądź, Broniu, moja ukochana, siądź, ja ci wszystko opowiem... tęsknota za tęsknotą... hm... hm. Ot, widzisz, jak byłem młody, tom szarpał ziemię z tęsknoty, nie wiedziałem, co począć, bom tęsknił, by spełnić coś tak wielkiego, mocnego i pięknego, czego dotychczas żaden człowiek nie spełnił...

BRONKA.

A może ja ci przeszkodziłam?

TADEUSZ.

Nie, nie, Bronka, nie. To dawno, dawno już temu... Czułem wtedy taki nadmiar sił, że zdawało mi się, że cały świat ze siebie wyłonię... Ha... ha... ha... Chłonąłem w siebie naukę, grzebałem w odwiecznych śmieciach wiedzy ludzkiej, świat cały zjechałem, by spełnić zakon w duszy mej wypisany, stworzyć jakiś wielki czyn...

BRONKA.

I ja, ja marna kobieta przeszkodziłam ci w tym?

TADEUSZ.

Och nie, stokroć razy nie—to zupełnie co innego. Kazimierz i ja, myśmy ostatni z naszego rodu... Kazimierz tęsknoty nie znał, a może ją znał... Ja nic nie wiem o Kazimierzu... (*Chwila milczenia.*)

BRONKA.

Mów, mów dalej.

TADEUSZ.

Nic więcej nie mam do powiedzenia.

BRONKA.

Tadziu! Czyś ty przy mnie utracił tę tęsknotę?

TADEUSZ.

Widzisz—jak ja ci mam na twoje pytanie odpowiedzieć? Ja (*iąkając się*) uczułem nagle taką niemoc w sobie, byłem znużony, zrezygnowany — i czułem takie nieskończenie wielkie pragnienie spokoju, ukojenia...

BRONKA.

A więc ja byłam tylko tą niemą poduszką pod twą skołataną głowę?

TADEUSZ *(smutno.)*

Czemu ty, Bronka, rzucasz się tak na mnie?

BRONKA.

Ja się na ciebie nie rzucam, ale we mnie burzy się wszystko na myśl, żem była dotychczas tylko twoim pieścidełkiem, twoją towarzyszką, z którą tak miło było gawędzić w tym piekielnym, przeklętym kątku przy kominie...

TADEUSZ.

Uspokój się, Bronka, uspokój. Dlaczego nie możesz słuchać spokojnie tego, co ci mówię. Przecież ja nic więcej nie chciałem powiedzieć nad to, że przy tobie znalazłem spokój i szczęście, że przy tobie zapomniałem tęsknić, boś ty wszelką moją tęsknotę zaspokoić zdołała.

BRONKA *(patrzy na niego długo i chwyta go za ręce.)*

A dlaczegoś począł tęsknić za twoją tęsknotą?

TADEUSZ *(z cichym uśmiechem.)*

Dlaczego ty teraz tęsknisz za tym, żeś nigdy przedtym nie tęskniła? (*Milczenie.*)

BRONKA *(zamyślona.)*

A prawda—(*po chwili.*) Pytałeś się mnie przed chwilą, dlaczego teraz jestem smutna i podrażniona, teraz, kiedy już

wróciłeś taki mocny, taki szczęśliwy, taki piekielnie stęskniony... za twoją Ewą!

TADEUSZ (*przerażony.*)

Ewą?

BRONKA *(nie hamując się już.)*

Ewą! Ewą! Tak, Ewą! Sądzisz, żem nie widziała, jak drgnąłeś, jak się przeraziłeś, gdy ona stanęła tam na progu naszego domu? Sądzisz, że ja tylko na to jestem, by być twoim pieścidełkiem, poduszką pod twą zmęczoną głowę, i nie czuć, nie czuć tej straszliwej tęsknoty, która ciebie ode mnie odrywa!? (*szarpie go, ale nagle opada bezsilna i patrzy na niego zdumiona i prawie nieprzytomna*). Tadziu, przepraszam cię, zdaje mi się, żem robiła ci wyrzuty z twojej tęsknoty... wiesz, to niesprawiedliwe wyrzuty, bo i moja tęsknota wybiegła daleko poza ciebie.

TADEUSZ *(tajemniczo.)*

Bronka, za czym?

BRONKA *(z silnym wybuchem.)*

Za Ewą, za Ewą, za Ewą!

TADEUSZ *(tajemniczo.)*

To i ciebie też zaraziła?

BRONKA *(opadając.)*

Tak i mnie też...

SCENA II.

(Kazimierz wchodzi, patrzy zdziwiony.)

KAZIMIERZ.

Co, wyście już na nogach? Cóż tak wcześnie?

TADEUSZ *(siląc się na swobodę.)*

Właśnie chciałem się ciebie zapytać: Ty już na nogach? Co tak wcześnie?

KAZIMIERZ.

Hm, ja czytałem całą noc, potym chciałem się orzeźwić, poszedłem na przechadzkę. Wracając z parku, widzę ze zdumieniem światło w oknach salonu, wstąpiłem zobaczyć, co się tu stało niezwykłego, a teraz pójdę spać.

BRONKA.

Nic, nic się nie stało. Co się miało stać? Tylko te wasze zagadnienia o celach życia, o wyjściu samego z siebie, szukanie czegoś, co się uchwycić nie da, a co może wcale nie istnieje, tak mnie ze snu wybiły i tak rozdrażniły, że całkiem Tadeuszowi spać nie pozwoliłam.

TADEUSZ *(troskliwie.)*

A może, Bronuś, teraz położysz się spać? *(całuje ją w rękę)*. Idź, idź Bronuś, połóż się; widzisz, ja także spocznę.

BRONKA *(żywo.)*

Nie, nie... i ty Kaziu, też zostań, zostań. Nam tak dobrze z tobą...

KAZIMIERZ *(śmieje się z przymusem.)*

Słyszysz, Tadeuszu? Teraz, jak ty tu jesteś, to Bronce dobrze ze mną, teraz jestem parawanikiem, to znowu wygodnym mebelkiem, który dyskretnie sam siebie usuwa, wie, kiedy wejść, kiedy wyjść...

BRONKA.

Ty, niegodziwy.

KAZIMIERZ *(do Tadeusza.)*

A gdy ciebie nie było, to powiedziała, żem nieznośny, żem wniósł atmosferę nudy i zmęczenia w twój dom, co chwila biegła budzić pannę Ewę...

BRONKA *(nagle z udanym zdumieniem.)*

Wiesz, Tadeusz, jakie to niepojęte. Przez cały czas, jak ciebie tu nie było, to Ewa cierpiała na ustawiczną senność, cały dzień spała.

TADEUSZ *(roztargniony.)*

Spała?... Cały dzień spała? Hm... (*wstaje, idzie wzdłuż i wszerz pokoju.*) Więc słuchaj, Kaziu, ten twój interes majątkowy rzeczywiście bardzo zagmatwany. Myślę i myślę ustawicznie, albo brak jakichś papierów, albo też rachunki się nie zgadzają *(wesoło.)* Słuchaj, Bronka, ubierz się, każ przygotować śniadanie, każ zaprząc do sanek, potym co koń wyskoczy poprzez pole, poprzez lasy...

BRONKA.

Tak, tak... poprzez pole — poprzez lasy — och, jak to piękne (*rozwiązuje gwałtownym ruchem włosy*), a w tym wietrze, w tym

pędzie, moje włosy, patrz, tak, o tak (*rozwiewa swoje włosy, zakręca je znowu szybko, zrywa się.*) I tak całą piersią wdychać, wchłaniać w siebie tę otchłań niebieską przed nami (*oddycha głęboko i wyciąga ramiona... nagle z filuternym uśmiechem do Tadeusza.*) Patrz tylko, jaki Kazimierz zdziwiony, on myślał, że ja całkiem nie umiem tęsknić za burzą wichru, za niebieską otchłanią...

KAZIMIERZ.

Ależ, przeciwnie, ja nie patrzyłem zdumiony, ja tylko zazdroszczę ludziom, którzy za czymś jeszcze tęsknić umieją.

BRONKA.

Słyszysz, Tadziu, ach jaki on naiwny, zazdrości ludziom, którzy tęsknią. No, ale idź, Tadziu, idź, załatw tę sprawę, to chyba długo nie potrwa.

TADEUSZ.

Pół godziny najwyżej.

BRONKA (*sztucznie.*)

A ja będę tymczasem uczyła Kazia tęsknić.

TADEUSZ.

Dobry pomysł, dobry pomysł. (*Wychodzi.*)

SCENA III.

Bronka, Kazimierz.

BRONKA *(podchodzi ku portjerom, przez które Tadeusz wyszedł, rozgląda się, a potym podchodzi do Kazimierza i chwyta go za rękę.)*

Czy ty wiesz, dokąd on teraz poszedł?

KAZIMIERZ.

Wiem.

BRONKA.

Ty wiesz? Ty tego nie możesz wiedzieć. Czy ty sądzisz, że on poszedł twoje sprawy załatwiać?

KAZIMIERZ.

Wiem, że nie.

BRONKA *(z mocą.)*

Do Ewy poszedł, do Ewy, do Ewy!

(Milczenie.)

BRONKA.

To tak być musi?

KAZIMIERZ.

Ha, taki los człowieczy, jak człowieka szarpnie taka straszna tęsknota, by wyjść po za siebie i wszystko, gdy żadne szczęście, żadna rozkosz nie wypełni duszy, nie jest w stanie ujarzmić tego wewnętrznego niepokoju, okiełzać tego wściekłego rozpędu, który gna, gna i gna człowieka na oślep, po trupach, po ofiarach swej zbrodni, przed siebie naprzód...

BRONKA *(przestraszona.)*

To silniejsze, niż huragan, co odwieczne dęby z korzeniami wyrywa?

KAZIMIERZ.

Silniejsze.

BRONKA.

Nieprzezwyciężalne?

KAZIMIERZ.

Nie.

BRONKA *(tajemniczo.)*

Ale silniejsze od Ewy, nieprawda?

KAZIMIERZ *(potrząsa głową.)*

Niestety, nie.

BRONKA *(zrywa się.)*

Nie, mówisz, nie *(zrozpaczona)*. Powiedz mi, czemu nie, czemu nie?

KAZIMIERZ.

Bo Ewa jest tą tęsknotą. On za nią nie tęskni, on może jej wcale nie widzi, nic o niej nie wie, ale widzisz to tak, jakby była w nim, jakby go szarpała, jakby go smagała w jakiś straszliwy pościg.

BRONKA.

Za czym, powiedz mi, za czym?

KAZIMIERZ.

Tego nikt nie wie, nie wiedział, nie rozumiał, ani nie zrozumie. (*Milczenie.*)

BRONKA.

Cóż ja pocznę nieszczęśliwa? Och i ja tęsknię i ja tęsknię, ale za jego duszą. Boże najdroższy, jaka ja ślepa byłam, jak moja dusza oślepła od tego szału i teraz dopiero zrozumiała, że on nigdy do mnie nie należał.

KAZIMIERZ (*smutno.*)

Słuchaj, Bronka, ja na oczach twojej duszy tej operacji robić nie chciałem. Wiedziałem dobrze i widziałem, że on nigdy twoim nie był, dlatego byłem tak smutny. Głęboki smutek pokrywałem maską nudy i zobojętnienia, co mi się zresztą nie zawsze udawało, ale myślałem, że się te chmury rozproszą...

BRONKA.

Czemuś mi tego nie powiedział, czemuś mi tego zaraz nie powiedział? Byłabym miała czas ochłonąć, a tak to spadło nagle, jak grom. Dusza moja, jak piorunem roztrzaskana wierzba, tysiąc szczap wokół korzeni, które się już też z ziemi wynurzają. Czemuś mi nie powiedział? Czemuś mi oczu nie roztworzył?

KAZIMIERZ.

Słuchaj mnie, Bronka, spokojnie, zaraz zrozumiesz, dlaczego.

BRONKA.

Kaziu, jakiś ty dziwny, co ci się stało?

KAZIMIERZ.

Co mi się stało? Toś ty też dopiero teraz przejrzała, coś już od tygodnia powinna była wiedzieć?

BRONKA *(nieśmiało patrzy na niego wylęknionemi oczyma.)*

KAZIMIERZ.

Nie lękaj się, Bronka, nic strasznego... Powiem ci prosto i szczerze. Zwolna w ciągu długich tygodni pokochałem cię moją pierwszą miłością, bom, Bronka, nigdy dotąd nie kochał. A dusza moja była zimna, biała i czysta, jak ten śnieg, tam, na polu. Dlaczegom cię pokochał, dlaczego z godziny na godzinę miłość moja się pogłębiała i silniej, silniej się we mnie rozrasta, toś może zrozumiała z tego wszystkiego, com ci o sobie mówił. Zresztą, to zupełnie obojętne... (*patrzy na nią z cichym uśmiechem*) tylko nie bądź tak przerażona. Mogłabyś wtedy z przerażeniem się cofać i z pokoju uciekać, gdybym ja liczył na twoją wzajemność, ale ja na nią nie liczę, ani też jej nie chcę. Chociażbym wiedział, żeś mi wzajemna, tobym ani na chwilę się nie wahał wzajemność twoją ze wstrętem odrzucić. Nie dlatego, żeś moją bratową, ale dlatego, że dusza twoja o inną się otarła, silniejszą może od mojej.

BRONKA.

Cicho, Kaziu, ja ciebie nie rozumiem.

KAZIMIERZ (*zmęczony.*)

To nic nie szkodzi, umiem myśleć dzień i noc o tobie, kochać cię i pieścić, i umiem nie myśleć o tym, że jesteś żoną mego brata i umiem ani na chwilę, choćby najodleglejszą myślą nie zbrukać ciebie w godności pani domu moich praojców i żony mego brata, którego tak samo kocham, jak ty.

BRONKA *(podchodzi ku niemu i głaszcze cicho jego włosy.)*

Nie mów już o tym, nie mów.

KAZIMIERZ.

Oczywiście, że ci już o mojej miłości mówić nie będę. Tylko rozumiesz tę tęsknotę człowieka, który przeważnie żył w mętach, w brudach życia, w całym tym błocie, co się światem i życiem nazywa? Zapragnąłem schwycić to błędne światło, co mknie nad tym bagnem i kałużą życia, chciałem odczuć tę rozkosz, gdy wypowiem to słowo „kocham".

(Milczenie, trzymają się za ręce i siedzą obok siebie. Po długiej chwili.)

KAZIMIERZ.

Jestem szczęśliwy, że zrobiłem taki piękny obrachunek z całym moim życiem... Jedna moja troska, jeden straszny ból: jak ty to ścierpisz?

BRONKA (*przerażona.*)

Co ścierpię, co?

KAZIMIERZ.

Słuchaj, Bronka, z rozkoszą patrzałem, jak człowiek w tobie w ciągu ostatnich dni rósł i potężniał, jak walczyłaś z sobą, z jakim strasznym trudem jęłaś sobie uświadamiać wszystko to, co na dnie twej duszy drzemało. Cieszyłem się już, nie jak człowiek, który kocha, ale jak artysta, gdyś nowe słowa tworzyła dla wszystkiego tego, co dusza twoja w tych cierpieniach rodziła... Bronka, bądź silną i piękną, pochwyć w górze w sam czas ten obuch, który ci ma głowę zmiażdżyć.

BRONKA (*rozdrażniona.*)

Co mnie może zmiażdżyć?

KAZIMIERZ (*twardo.*)

Tadeusz twoim nie był i nie będzie. Dusza jego poleci, a chcesz trupa mieć przy sobie, to miej.

BRONKA.

Kłamiesz.

KAZIMIERZ (*smutno.*)

Gdybym nie gardził twoją wzajemnością, to możebym się do tak nędznych środków uciekał; gdybym ciebie nie kochał, gdybym nie miał tej krwi w sobie, która we mnie płynie, to możebym się cieszył, że ci mogę serce rozranić. Nie mówiłem ci tego wszystkiego, chociaż o wszystkim wiedziałem, a teraz, gdy już nic zmienić się nie da, pragnąłbym zahartować twoją duszę...

BRONKA (*patrzy na pół błędnie na Kazimierza.*)

Więc dobrze! Będę teraz silną, będę piękną. A ty, ty mi pomożesz?

KAZIMIERZ.

W czym ja ci mogę pomóc?

BRONKA (*z tłumionym krzykiem.*)

Ja ją zabiję, zabiję, zabiję! I ty mi pomożesz!

KAZIMIERZ.

Ja—nie.

BRONKA (*śmieje się wzgardliwie.*)

I ty, ty powiedziałeś, że mnie kochasz? I ty, z którego słów wyczuwałam, że wszystko jesteś w stanie dla mnie zrobić i każdą ofiarę dla mnie z siebie ponieść, teraz się cofasz?

KAZIMIERZ.

Ja się wcale nie cofam, nie pojmuję tylko, dlaczegobym miał przykładać rękę do takiej bezcelowej i bezmyślnej zbrodni, którą może co najwyżej obłęd samiczki podyktować, ale nigdy prawdziwa siła i piękność kobiety.

BRONKA (*coraz gwałtowniej.*)

Człowieku, co ty mówisz, czy ty nie masz krwi i serca? Powiedz, jak ty kochasz, czym ty kochasz? Ta twoja miłość nie jest niczym więcej, jak tylko pieszczeniem się dźwiękiem pięknych słów i niczym więcej, jak tylko rozkoszą sennych rojeń i majaczeń.

KAZIMIERZ *(patrzy na nią przeciągle.)*

Obłędny ból przemawia przez ciebie, a zresztą masz słuszność, nie zdolny jestem, a może za silny do waszej krwiożerczej miłości, jej krwiożerczej cnoty i jej krwiożerczej zbrodni... *(podnosi się i zwolna idzie ku wyjściu. Bronka patrzy za nim, potym podbiega do niego, chwyta go za rękę i ciągnie napowrót do pokoju.)*

BRONKA.

Nie odchodź, nie odchodź, mój bracie jedyny. Widzisz, już oprzytomniałam, tyś, tyś jeden przemówił do mojej duszy. Widzisz, ja też mam duszę, Kaziu, taką skołataną duszę, ale dosyć dużą na to, by ogarnąć całą piękność i dobroć twoich słów, by pomieścić chociaż cząstkę twojego smutku i twojej tęsknoty. Bo, powiedz szczerze, Kaziu, ty też tęsknisz?

KAZIMIERZ.

Teraz nie, teraz nie. Przez ciebie dokonała się we mnie moja tęsknota.

BRONKA *(powtarza bezmyślnie.)*

Przeze mnie... przeze mnie... przeze mnie... *(nagle przeskakuje do wesołości).* Kaziu, czyś ty mi rzeczywiście mówił, że mnie kochasz?

KAZIMIERZ (*zamyślony.*)

Mówiłem.

BRONKA.

I mówiłeś, że gardziłbyś mną, gdybym ci się odwzajemniła?

KAZIMIERZ.

Mówiłem.

BRONKA.

I mówiłeś, żeś za dumny, za czysty, by najlżejszą myślą pożądania skalać panią domu twych praojców i żonę brata twego?

KAZIMIERZ.

Mówiłem — i to jest całą treścią mej duszy.

BRONKA (*chwyta go nagle za ręce.*)

Och, ty, bracie mój *(obejmuje nagle jego szyję, tuli jego głowę do swych piersi, potym przechyla się na ramię Kazimierza na pół sennie).* Tak mi się dusza wyczerpała, takam senna, tak bym chciała, byś mnie kołysał, kołysał bez końca, do takiego cichego, wiecznego snu, boś taki nieskończenie, nieskończenie dobry... (*nagle zrywa się.*) Kaziu, ty wiesz, czym ja jestem?

KAZIMIERZ.

Wiem.

BRONKA.

Powiedz mi, powiedz, czym jestem?

KAZIMIERZ.

Białym, czystym śniegiem, który na zmarzłą grudę ziemi opadnie, ugrzeje, otuli tego trupa, dopóki nie odżyje, budzić się nie pocznie, i z ciepłego już łona, z ziarn, zda się zmarzłych ziarn, nowe, świeże kiełki puszczać pocznie...

BRONKA (*w zamyśleniu.*)

A zdawało się, że to ziarno w ziemię zasiane dawno już wymarzło.

KAZIMIERZ.

Wymarzło w mrozie, wygniło w błocie...

BRONKA.

Ziarno kiełkuje, a śnieg taje... Masz rację—jestem śniegiem (*zrywa się nagle.*) Dlaczego Ewa nie śpi? Słyszysz?

(*Kazimierz nasłuchuje.*)

BRONKA.

Słyszysz? Teraz idzie po schodach na dół... Za chwilę tu będzie (*przechodzi nagle do sztucznej wesołości.*) Ach, Kaziu, jaka ja dziwnie wesoła i szczęśliwa (*obejmuje go w ramiona stara się go przechylać w tę i ową stronę).* Lulu, lulu, mój maleńki, lulu... No, śpijże wreszcie, niesforny dzieciaku (*w drzwiach staje Ewa i patrzy, pozornie rozbawiona, na scenę.*)

SCENA IV.

BRONKA (*patrzy na nią.*)

Lulu, lulu, mój maleńki. No, nie chcesz spać, to powiedz przynajmniej pannie Ewie: dzień dobry!

KAZIMIERZ (*ze sztuczną wesołością.*)

Dzień dobry, pani.

BRONKA (*wita Ewę.*)

Pomyśl tylko, Ewciu, jak zerwaliśmy się dziś wszyscy wcześnie. Zdaje mi się, że to dzień Bożego Narodzenia... U nas był taki zwyczaj, że ten dzień dzieciom rózgami przypominano, dlatego tak rychło zrywaliśmy się z łóżek.

EWA.

Ależ, bój się Boga, to w wielki piątek, czy w wielką sobotę.

BRONKA.

E, to wszystko jedno... Patrz tylko na tego mego wielkiego, łagodnego, dobrego niedźwiedzia. Ach, to poczciwe Kazimierzysko...

KAZIMIERZ.

Bronka obudziła się dziś w wybornym usposobieniu.

BRONKA.

Masz słuszność... zdaje mi się, że jestem młodym dzieciakiem, gdym jeszcze pięła się na najwyższe szczyty topoli nad tym przeklętym czarnym stawem.

EWA.

I znowu ten czarny staw?

BRONKA (*macha ręką.*)

E—wszystko jedno. Staw, nie staw, brzytwa czy szubienica, pod kołami pociągu, czy też jaknajprzykładniej w świecie w swoim łóżeczku... Śmierć śmiercią. Wszystko jedno jak

i kiedy... *(urywa nagle.)* Patrz tylko, Ewciu, to poczciwe Kazimierzysko wygląda jak rosochata topola, ach nie, jak ten mój olbrzymi wuj, na którego plecach tak często otrząsałam sobie wnętrzności.

EWA.

. Coś ty taka wesoła?

BRONKA *(chwyta ją za ręce, pieszczotliwie.)*

Widzisz, Ewciu, ja mam często takie jakieś głupie smutki, głupie tęsknoty, któremi sobie i innym życie zatruwam, ale to wszystko mija i wtedy jestem podwójnie wesoła... *(trochę zmęczona.)* Ale patrz tylko, ten Kazimierz do niczego. Ach, jaki ty, Kaziu nudny, jaki nudny... Ewo, wiesz co, gdybyśmy tak razem teraz wybiegły do ogrodu, śnieg po pas głęboki... Och, co za rozkosz brnąć w tym śniegu, rozrywać go piersią i nogami, by tylko, co prędzej zakiełkowała ta martwa, a teraz już odchuchana ozimina...

EWA *(udaje, że nie zważa, pobłażliwie.)*

Bronka znowu szaleje. Teraz, w śnieg, w porannej sukni, w pantofelkach?

BRONKA.

No i cóż z tego, jam zahartowana. A tyś przecie już ubrana... Chodź, kochana Ewciu, tyś taka zimna, tak marzniesz, a ja cię tak w śniegu rozgrzeję. Całemi garściami śniegu będę tarła twoją twarz, będę myła śniegiem twoje włosy, ach, gdybyś ty wiedziała, jak śnieg umie przytulić, odchuchać, rozgrzać zziębnięte ręce i wymarzłe serce...

EWA.

Nie, Bronko, (*zawsze z tym samym tajemniczym uśmiechem*) ja nie potrzebuję śniegu, mnie dobrze z mojemi zziębniętemi rękami i zmarzłym sercem. Mojej duszy jeszcze żaden śnieg nie potrzebował przypruszać, by ją ogrzać.

BRONKA (*patrzy na nią przeciągle.*)

Nie? Rzeczywiście nie?... No, to chodź, Kaziu, to razem w śnieg polecimy, a pozwolisz się kulać w śniegu? Takiego cudnego bałwana z ciebie zrobię (*ilustruje giestami*). Tu ci dwa węgle włożę, będziesz miał oczy, tu ci kawałek błota przylepię, będziesz miał nos, a tu zrobię tak i będziesz miał usta, taką fajkę ci do ust włożę... Och Ewciu, Ewciu, że ty z nami iść nie chcesz. No, chodźże, Kaziu, chodź (*ciągnie Kazimierza za sobą*). Ewciu, Tadeusz tu zaraz przyjdzie (*wybiega do przedsionka razem z Kazimierzem.*)

(Głos Bronki z przedpokoju.)

Tadeusz! Tadeusz! Ewa sama, przygotujcie nam śniadanie.

SCENA V.

(*Ewa sama—podchodzi ku oknu, patrzy chwilę, uderzając palcami w szybę, zimna i surowa, podchodzi do kominka, rozgrzebuje haczykiem żar, potym siada nieruchoma, wpatrzona w ogień.*)

SCENA VI.

(Tadeusz wchodzi, rozgląda się po pokoju, podchodzi do Ewy, bierze fotel i siada obok.)

Powiedzieć ci dzień dobry?

EWA (*milczy.*)

TADEUSZ.

Spytać się ciebie, kto mnie wołał?

EWA (*podnosi sennie głowę.*)

Bronka cię wołała. Pobiegła w rannej sukni i w pantofelkach bawić się z Kazimierzem w śniegu... Mówiła, że to pięknie brodzić w śniegu po pas, rozrywać swoją piersią fale śniegu... Nie lękasz się, że się zaziębi?

TADEUSZ (*jakby we śnie.*)

To wszystko jedno.

EWA.

Nie jesteś zazdrosny o Kazimierza?

TADEUSZ *(patrzy na nią, ale nic nie odpowiada.)*

EWA.

Gdzie byłeś teraz?

TADEUSZ.

Sam z sobą.

EWA.

Przy mnie , ze mną?

TADEUSZ (*wściekły.*)

Nie, mówię ci: byłem sam z sobą.

EWA (*głaszcze go po rękach.*)

Dlaczego się tak wściekasz, że odtąd już raz na zawsze musisz zostać ze mną i wiecznie być przy mnie.

TADEUSZ.

Być z tobą? Przy tobie? Śmierć mi stokroć razy milsza.

EWA (*zamyślona.*)

Gdym weszła w twój dom—ach nie, nie, nie o tym chciałam mówić. Tak, ta chwila... To była jedna tylko chwila... Wtedy, gdyś wrócił, a ja stałam w tym oto pokoju, nie słyszałam coście mówili z sobą, ale czułam, że jesteście szczęśliwi, zawahałam się chwilę, zanim przestąpiłam Romowe waszego szczęścia i spokoju.

TADEUSZ (*jakby się ze snu budził.*)

Gdzie Bronka?

EWA.

Bronka poszła sama i z dobrej woli rozorywać śnieg, by ozimina, zasiana w grudzie zmarzłej twojej duszy, prędzej kiełkować mogła.

TADEUSZ (*waha się, patrzy na nią, patrzy w ogień, a potym nagle.*)

Czegóż więc chcesz?

EWA (*twardo.*)

Czego? Ty jeszcze nie wiesz czego?

(*Chwila milczenia.*)

TADEUSZ.

To się nigdy nie stanie! *(wściekły.)* Prędzej ci głowę skruszę, prędzej cię, jak robaka, zdepczę, sam sobie z tęsknoty za tobą, ty wściekły szatanie, łeb rozbiję, zanim bym pozwolił, żeby się to stać miało.

EWA (*patrzy z zachwytem na niego.*)

Jakiś ty piękny, że mnie taką straszną siłą kochasz.

TADEUSZ (*chwyta ją za ręce.*)

Nienawidzę cię.

EWA.

Wiem o tym i tym więcej kocham twoją miłość.

TADEUSZ.

Nie wypieram się mojej miłości, nie wypieram się mojej strasznej, strasznej tęsknoty za tobą, ale tej ofiary dla ciebie nie poniosę, i to, przysięgam ci, nigdy, nigdy się nie stanie.

EWA.

Stać się musi.

TADEUSZ (*przerażony z tłumionym okrzykiem.*)

Raz jeszcze ci powiadam, nigdy, nigdy.

EWA (*nieruchoma, z szeroko rozwartemi oczyma.*)

Dziś jeszcze się stanie.

(*Słychać gwar na korytarzu, parę kłócących się głosów.*)

TADEUSZ (*nasłuchuje.*)

Co to ma znaczyć? *(dzwoni.)*

(*Po chwili wchodzi lokaj.*)

SCENA VII.

TADEUSZ.

Co to za hałas i kłótnia?

LOKAJ.

Wielmożny panie, to przyszła jakaś kobieta i chce się koniecznie z wielmożną panią widzieć.

TADEUSZ.

Dlaczego nie kazałeś jej puścić do kuchni i poczekać?

LOKAJ.

Powiedziałem jej, ale ona nie chce iść do kuchni; mówi, że ma takie same prawo do wielmożnej pani, jak rodzona jej matka.

TADEUSZ (*przeciera sobie czoło.*)

Wpuść ją. *(Lokaj wychodzi.)*

Pauza.

SCENA VIII.

(*Wchodzi obca kobieta, posępna, rozgląda się, a potym mówi spokojnie, bez śladu uniżoności.*)

MAKRYNA.

Nie chciano mnie tędy wpuścić, kazano mi wejść do kuchni i czekać, ale ja mam prawo wchodzić temi drzwiami, przez które do domu pana panowie i panie, a choćby najwięksi mocarze tego świata wchodzą.

TADEUSZ (*podchodzi przerażony do niej.*)

Co to ma znaczyć?

EWA (*tyłem odwrócona do Tadeusza i do Makryny wybucha nagle śmiechem.*)

TADEUSZ (*nie słysząc śmiechu Ewy, chwyta za rękę Makrynę w coraz większym lęku*).

Mówcie przecież, co to ma znaczyć.

MAKRYNA (*wskazuje palcem na Ewę i mówi bardzo spokojnie i poważnie.*)

Ja tę panią znam i ona mnie dobrze zna. (*Ewa przestaje się śmiać, ogląda się nagle i mierzą się spojrzeniem.*) Pan pozwoli, że ja tu sobie w kącie usiądę i poczekam, aż moja pani przyjdzie, żona pańska—to najdroższe dziecko moje, które wypieściłam i wychowałam (*siada w kącie, przy drzwiach, Tadeusz cofa się ku Ewie, ale Ewa, już znowu odwrócona do komina, nie widzi go. Nagle wbiega Bronka, cała ośnieżona, rzuca się na Tadeusza i obejmuje go z całej siły ramionami.*).

SCENA IX.

BRONKA.

Rozgrzej mnie, Tadziu. W ogień mnie włóż, drżę na całym ciele. Tadziu, rozgrzej mnie.

TADEUSZ (*uwalnia się z jej uścisku.*)

Niańka twoja przyszła.

BRONKA (*odskakuje przerażona od Tadeusza, rozgląda się dokoła, widzi nagle kobietę, która z swego miejsca powstała, rzuca się ku niej.*)

Ty, ty, moja jedyna, ty, matko moja kochana! Ach, jak dobrze, żeś przyszła! O, jak dobrze, że tu jesteś!

(*Zasłona spada.*)

Koniec aktu trzeciego.



IV

S C E N A [illegible]

Za oknami bieleje [illegible]
zwolna Bronka [illegible]
chodzi ku oknu. [illegible]

[illegible]

„Moja ty [illegible]
i kwili): -jedyna [illegible]
da, prawda. [illegible]
to rzeczywiście [illegible]
świecie... A! [illegible]
siebie). Mak[illegible]
do trumienki [illegible]

S C E [illegible]

[illegible]

Wielmożna [illegible]

BRONKA.

Tak, każ niech ludzie zmiotą śnieg ze stawu...

LOKAJ (*stoi i milczy.*)

BRONKA (*niecierpliwie.*)

Czegóż czekasz?

LOKAJ.

Wielmożna pani, była tak straszna zamieć przed paru godzinami, że śnieg leży na metr wysoki, robota parę godzin potrwa.

BRONKA (*niecierpliwie.*)

Co to ma znaczyć. Całą wieś zwołaj, staw musi być czysty jak szkło i każ przerębłe wyrąbać, rybaka zawołaj, każ przygotować pochodnie, dziś będzie połów ryb.

LOKAJ.

Zrobię, jak wielmożna pani rozkazała.

BRONKA (*bardzo rozdrażniona.*)

Ale to musi być zaraz, zaraz, zaraz!

LOKAJ (*kłania się i chce wychodzić.*)

BRONKA.

Gdzie pan Kazimierz?

LOKAJ.

Zamknął się w swoim pokoju i kazał powiedzieć...

BRONKA.

Co kazał powiedzieć?

LOKAJ.

Że dziś już nie zejdzie, bo musi pracować.

BRONKA (*przeciągle.*)

Ta-ak? Więc poprosisz go, żeby za chwilę zechciał tu zejść.

LOKAJ (*kłania się i chce znowu odchodzić.*)

BRONKA (*nagle zmieszana.*)

A widziałeś pana?

LOKAJ.

Wielmożny pan poszedł przed chwilą do lasu.

BRONKA (*niespokojnie.*)

Sam?

LOKAJ.

Nie, z panią, która tu u nas jest.

BRONKA (*patrzy na niego.*)

Aha, no, to dobrze... (*zamyślona.*) Poproś Makrynę, żeby do mnie przyszła, a pamiętaj, żeby jaknajszybciej zmieciono śnieg ze stawu, wyrąbano przeręble i przygotowano pochodnie, a Makrynę poproś, niech zaraz przyjdzie.

(*Lokaj wychodzi.*)

SCENA III.

BRONKA (*sama, chwyta się za głowę i chodzi po pokoju.*)

Sama, sama, sama... On poszedł z Ewą... Kazio się zamknął... w całym domu Makryna i ja... ha... ha... ha... (*chodzi po pokoju.*) I dwa dni temu byłam jego jedną, jedyną, a dziś, a dziś... (*znowu rozwija list i czyta cicho*) „tydzień zaledwie minął, a ja tak strasznie stęskniony za tobą, tak ciebie spragniony... (*rzuca list na ziemię*) kłamstwo! kłamstwo! (*po chwili namysłu schyla się i podnosi list, całuje go.*) Nie, nie, to nie kłamstwo (*pieści list, siada na otomanie.*) Tak Bóg chciał, tak Bóg chciał, tak Bóg chciał...

SCENA IV.

Wchodzi Makryna i stoi cicho przy drzwiach.

BRONKA (*nie widząc Makryny, opada coraz więcej.*)

Tak Bóg chciał.

(*Milczenie.*)

BRONKA (*zrywa się nagle z przerażeniem.*)

Kto tu jest? (*ujrzała nagle Makrynę*). Ach, to ty, Makryno, dobrze, dobrze, że tu jesteś. (*Podchodzi ku niej, bierze ją za rękę i sadza obok siebie.*) To bardzo dobrze, żeś przyszła, Makryno, bardzo dobrze... (*Patrzy nagle bystro na Makrynę.*) Powiedz mi tylko, skąd ci nagle ta myśl przyszła, iść tyle dni w taką zawieję, w taki mróz, aby mnie odwiedzić? Tyle

lat nie myślałaś o tym, by zobaczyć to dziecko, dla którego od chwili sieroctwa byłaś najlepszą matką, skąd nagle?... (*przerywa i patrzy zdumiona na Makrynę.*)

MAKRYNA (*zamyślona.*)

O, to nie było nagle. Wychuchałam cię, strzegłam, jak źrenicy w oku, byłam dla ciebie taką, że lepszą nie mogłaby być rodzona matka dla dziecka.

BRONKA.

Od kołyski mnie chowałaś... i gdy byłam taką małą, maleńką — swoim mlekiem mnie karmiłaś — wiesz, Makryna, nic a nic się nie postarzałaś i jesteś taka sama spokojna, dobra i cicha.

MAKRYNA (*kiwa głową.*)

Spokojna, dobra i cicha.

BRONKA.

Makryna, czy pamiętasz, jak ostrożnie wyjmowałaś mnie z kołyski, gdym była niespokojna, i całemi nocami chodziłaś ze mną po pokoju i chuchałaś i tuliłaś.

MAKRYNA.

Pamiętam cię przed tym, zanim cię do kołyski złożyłam.

BRONKA (*nagle.*)

Co ty mówisz?

SCENA III.

BRONKA (*sama, chwyta się za głowę i chodzi po pokoju.*)

Sama, sama, sama... On poszedł z Ewą... Kazio się zamknął... w całym domu Makryna i ja... ha..., ha... ha... (*chodzi po pokoju.*) I dwa dni temu byłam jego jedną, jedyną, a dziś, a dziś... (*znowu rozwija list i czyta cicho*) „tydzień zaledwie minął, a ja tak strasznie stęskniony za tobą, tak ciebie spragniony... (*rzuca list na ziemię*) kłamstwo! kłamstwo! (*po chwili namysłu schyla się i podnosi list, całuje go.*) Nie, nie, to nie kłamstwo (*pieści list, siada na otomanie.*) Tak Bóg chciał, tak Bóg chciał...

SCENA IV.

Wchodzi Makryna i stoi cicho przy drzwiach.

BRONKA (*nie widząc Makryny, opada coraz więcej.*)

Tak Bóg chciał.

(*Milczenie.*)

BRONKA (*zrywa się nagle z przerażeniem.*)

Kto tu jest? (*ujrzała nagle Makrynę*). Ach, to ty, Makryno, dobrze, dobrze, że tu jesteś. (*Podchodzi ku niej, bierze ją za rękę i sadza obok siebie.*) To bardzo dobrze, żeś przyszła, Makryno, bardzo dobrze... (*Patrzy nagle bystro na Makrynę.*) Powiedz mi tylko, skąd ci nagle ta myśl przyszła, iść tyle dni w taką zawieję, w taki mróz, aby mnie odwiedzić? Tyle

lat nie myślałaś o tym, by zobaczyć to dziecko, dla którego od chwili sieroctwa byłaś najlepszą matką, skąd nagle?... (*przerywa i patrzy zdumiona na Makrynę.*)

MAKRYNA (*zamyślona.*)

O, to nie było nagle. Wychuchałam cię, strzegłam, jak źrenicy w oku, byłam dla ciebie taką, że lepszą nie mogłaby być rodzona matka dla dziecka.

BRONKA.

Od kołyski mnie chowałaś... i gdy byłam taką małą, maleńką — swoim mlekiem mnie karmiłaś — wiesz, Makryna, nic a nic się nie postarzałaś i jesteś taka sama spokojna, dobra i cicha.

MAKRYNA (*kiwa głową.*)

Spokojna, dobra i cicha.

BRONKA.

Makryna, czy pamiętasz, jak ostrożnie wyjmowałaś mnie z kołyski, gdym była niespokojna, i całemi nocami chodziłaś ze mną po pokoju i chuchałaś i tuliłaś.

MAKRYNA.

Pamiętam cię przed tym, zanim cię do kołyski złożyłam.

BRONKA (*nagle.*)

Co ty mówisz?

SCENA I.

Za oknami bieleje śnieg w mroku popołudniowym późnej zimy, na scenę wchodzi zwolna Bronka zbolała i jakby męką oszołomiona, trzyma w ręku zmięty list, podchodzi ku oknu, patrzy długo w park, a potym rozwija list, głaszcze go rękami i czyta, tyłem do publiczności odwrócona.

BRONKA (*cichym szeptem czyta.*)

„Moja ty jedyna, najukochańsza Bronko...“ (*opuszcza list i kwili*): „jedyna Bronka, mój Boże... A tak, tak, jedyna. Prawda, prawda, jedyna, jedyna na całym świecie (*odwraca się*). Tak to rzeczywiście prawda. Ja teraz rzeczywiście sama jedna na świecie... A! Makryna, Makryna! (*dzwoni, patrzy błędnie przed siebie*). Makryna, piastunka—siostrę też wypiastowała, potym do trumienki włożyła... och, ten staw, ten czarny staw...

SCENA II.

LOKAJ (*wchodzi.*)

Wielmożna pani dzwoniła?

BRONKA.

Tak, każ niech ludzie zmiotą śnieg ze stawu...

LOKAJ (*stoi i milczy.*)

BRONKA (*niecierpliwie.*)

Czegóż czekasz?

LOKAJ.

Wielmożna pani, była tak straszna zamieć przed paru godzinami, że śnieg leży na metr wysoki, robota parę godzin potrwa.

BRONKA (*niecierpliwie.*)

Co to ma znaczyć. Całą wieś zwołaj, staw musi być czysty jak szkło i każ przeręble wyrąbać, rybaka zawołaj, każ przygotować pochodnie, dziś będzie połów ryb.

LOKAJ.

Zrobię, jak wielmożna pani rozkazała.

BRONKA (*bardzo rozdrażniona.*)

Ale to musi być zaraz, zaraz, zaraz!

LOKAJ (*kłania się i chce wychodzić.*)

BRONKA.

Gdzie pan Kazimierz?

LOKAJ.

Zamknął się w swoim pokoju i kazał powiedzieć...

BRONKA.

Co kazał powiedzieć?

LOKAJ.

Że dziś już nie zejdzie, bo musi pracować.

BRONKA (*przeciągle.*)

Ta-ak? Więc poprosisz go, żeby za chwilę zechciał tu zejść.

LOKAJ (*kłania się i chce znowu odchodzić.*)

BRONKA (*nagle zmieszana.*)

A widziałeś pana?

LOKAJ.

Wielmożny pan poszedł przed chwilą do lasu.

BRONKA (*niespokojnie.*)

Sam?

LOKAJ.

Nie, z panią, która tu u nas jest.

BRONKA (*patrzy na niego.*)

Aha, no, to dobrze... (*zamyślona.*) Poproś Makrynę, żeby do mnie przyszła, a pamiętaj, żeby jaknajszybciej zmieciono śnieg ze stawu, wyrąbano przeręble i przygotowano pochodnie, a Makrynę poproś, niech zaraz przyjdzie.

(*Lokaj wychodzi.*)

SCENA III.

BRONKA (*sama, chwyta się za głowę i chodzi po pokoju.*)

Sama, sama, sama... On poszedł z Ewą... Kazio się zamknął... w całym domu Makryna i ja... ha... ha... ha... (*chodzi po pokoju.*) I dwa dni temu byłam jego jedną, jedyną, a dziś, a dziś... (*znowu rozwija list i czyta cicho*) „tydzień zaledwie minął, a ja tak strasznie stęskniony za tobą, tak ciebie spragniony... (*rzuca list na ziemię*) kłamstwo! kłamstwo! (*po chwili namysłu schyla się i podnosi list, całuje go.*) Nie, nie, to nie kłamstwo (*pieści list, siada na otomanie.*) Tak Bóg chciał, tak Bóg chciał...

SCENA IV.

Wchodzi Makryna i stoi cicho przy drzwiach.

BRONKA (*nie widząc Makryny, opada coraz więcej.*)

Tak Bóg chciał.

(*Milczenie.*)

BRONKA (*zrywa się nagle z przerażeniem.*)

Kto tu jest? (*ujrzała nagle Makrynę*). Ach, to ty, Makryno, dobrze, dobrze, że tu jesteś. (*Podchodzi ku niej, bierze ją za rękę i sadza obok siebie.*) To bardzo dobrze, żeś przyszła, Makryno, bardzo dobrze... (*Patrzy nagle bystro na Makrynę.*) Powiedz mi tylko, skąd ci nagle ta myśl przyszła, iść tyle dni w taką zawieję, w taki mróz, aby mnie odwiedzić? Tyle

lat nie myślałaś o tym, by zobaczyć to dziecko, dla którego od chwili sieroctwa byłaś najlepszą matką, skąd nagle?... (*przerywa i patrzy zdumiona na Makrynę.*)

MAKRYNA (*zamyślona.*)

O, to nie było nagle. Wychuchałam cię, strzegłam, jak źrenicy w oku, byłam dla ciebie taką, że lepszą nie mogłaby być rodzona matka dla dziecka.

BRONKA.

Od kołyski mnie chowałaś... i gdy byłam taką małą, maleńką — swoim mlekiem mnie karmiłaś — wiesz, Makryna, nic a nic się nie postarzałaś i jesteś taka sama spokojna, dobra i cicha.

MAKRYNA (*kiwa głową.*)

Spokojna, dobra i cicha.

BRONKA.

Makryna, czy pamiętasz, jak ostrożnie wyjmowałaś mnie z kołyski, gdym była niespokojna, i całemi nocami chodziłaś ze mną po pokoju i chuchałaś i tuliłaś.

MAKRYNA.

Pamiętam cię przed tym, zanim cię do kołyski złożyłam.

BRONKA (*nagle.*)

Co ty mówisz?

MAKRYNA (*spokojnie.*)

Znam cię, zanim na świat przyszłaś. Tuliłam cię, pieściłam, całowałam, by cię do życia ocknąć (*zamyślona.*) Teraz przychodzę, by te same powieki, które moim pocałunkiem do życia budziłam, zamknąć, zamknąć... ale już nie pocałunkiem, tylko temi, temi palcami...

BRONKA (*zrywa się.*)

Czy ja śnię?

MAKRYNA.

Czy ty śnisz? A czymże jest życie? snem we śnie... To samo światło gwiazdy jakiejś, które cię do życia budzi, wędruje, wędruje błędne i nieświadome swych przeznaczeń, ani przeznaczeń ludzi, na których swą łaskę zlewało, gdy na świat przychodzili, a potym wraca po wielu, wielu latach, by zniszczyć życie, które wskrzesiło.

BRONKA (*posuwa się zwolna do dzwonka.*)

MAKRYNA (*z uśmiechem.*)

Czemu ty się mnie lękasz? Chcesz wołać swoich lokai. Może byś mnie stąd wypędzić chciała...? (*Chwyta Bronkę za rękę.*)

BRONKA (*z przerażeniem.*)

Jaka twoja ręka zimna, jaka zimna...

MAKRYNA (*patrzy na nią czule.*)

Bronka, jak mi teraz swego ojca przypominasz... Wtedy siedział w swojej pracowni, siedział, a nagle jakby piorun weń uderzył, zerwał się...

BRONKA.

Czemu się zerwał?

MAKRYNA.

Twoja siostra się utopiła...

BRONKA.

Co? co? co?

MAKRYNA.

Twoja siostra się utopiła. Sama ją ze stawu wyłowiłam, z takiego samiuteńkiego, jak ten wasz przed oknami. Wzięłam na rękę biedne trupiątko: chuchałam, ogrzewałam, tuliłam, całowałam — nic nie pomogło... Obudziłam ją do życia pocałunkiem, a zgasłe powieki palcami mojemi zamykałam... Twój ojciec stał we drzwiach werandy, jak słup kamienny, tyś leżała twarzą w trawę wtulona, gdy z tym moim kosztownym ciężarem przeszłam obok ciebie.

BRONKA (*patrzy na Makrynę wpół błędnie.*)

Makryna, zdaje mi się, że jestem chora, nie rozumiem tego, co mówisz. Na to obudziłaś siostrę moją i mnie pocałunkiem swoim do życia, by potym nam zimnemi palcami powieki zamknąć? Wszak tak powiedziałaś? Nieprawda? A potym mówiłaś, że są takie gwiazdy, które ludzi budzą do życia,

idą dalej błędną drogą ciemnych przeznaczeń i wracają znowu, by zniszczyć życie swym własnym światłem wskrzeszone? Tak powiedziałaś? Ach, jakie piękne bajki opowiadasz... O, opowiedz mi tę jedną; czekaj — czekaj... ja taka dziwnie senna... Prawda! są takie gwiazdy, które rwą, ciągną, szarpią człowieka, trzeba iść za niemi wzwyż ku niebu, w dół ku otchłani; wszerz po wszystkich oceanach, ale trzeba iść za niemi, trzeba... (*tuli się do Makryny.*) On poszedł za swoją gwiazdą, a ja, Makryno, ja... samiuteńka; wszak weźmiesz mnie na swoje ręce i poniesiesz mnie w swoich ramionach, by złożyć mnie u stóp mojego ojca. Siostrę zobaczę... matkę zobaczę... Makryno, tyś taka spokojna i dobra i cicha... Och, jaka ja senna... Siedź przy mnie, Makryno... (*słania się, wyciąga się na otomanie. Zamyka oczy.*)

MAKRYNA (*wstaje po cichu, patrzy na nią, a potym wychodzi poważnie z pokoju.*)

(*Chwila głębokiego milczenia, Bronka zdaje się spać, wchodzi Kazimierz, podchodzi do Bronki.*)

SCENA V.

KAZIMIERZ.

Bronka, co tobie jest?

BRONKA (*jak ze snu zbudzona.*)

Och, Kaziu, Kaziu, jak to dobrze, żeś przyszedł.

KAZIMIERZ.

Broniu, czy ty spałaś?

BRONKA.

Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Moja głowa taka ciężka, a ja taka sama, samiuteńka. Tadeusz poszedł z Ewą do lasu, a ja taka sama. Kaziu, czemu ja taka sama?

KAZIMIERZ (*z lękiem.*)

Przecież Makryna była tu przy tobie?

BRONKA (*przecierając oczy i skronie.*)

Makryna? Co ty mi mówisz? Makryna? Śniła mi się Makryna, śnił mi się mój ojciec, śniła mi się moja matka... Kaziu, Kaziu, moja matka mi się śniła! Wiesz, jak to było: szłam, szłam, szłam jakimś pustym, stromym ugorem. Wokół w szarym mroku tylko krzyże majaczą, a naraz, na drodze, siedzi jakaś kobieta, nie widziałam, nie słyszałam nic, tylko czułam, że tam moja matka siedzi i tuli do łona jedno zmarłe dziecko. Ha—ha—ha! Kaziu, czemuś ty taki przerażony? Słuchaj—i patrzy, jak drugie dziecko błądzi bosemi nogami poprzez cierniste ścieżki i ścieżyny... z mozołem w górę, w górę. I tak idę i idę, jakby mnie ktoś wlókł przed siebie. A wtym matka moja opuszcza dziecko, które do siebie tuliła i wyciąga do mnie ramiona, a ja już śmiertelnie znużona rzucam się na pierś matki... naraz, naraz, jakby wiatr całun mgły z niej zwiał, i leżę w strasznym, żelaznym uścisku kości i piszczeli trupich... O...!

KAZIMIERZ.

Broniu, Broniu, tyś chora.

BRONKA.

Ha... ha... ha... chora, chora. Co to znaczy być chorą?! (*Patrzy na Kazimierza długo, a potym mówi tajemniczo.*) Kaziu, Kaziu, mówiłeś mi dziś rano, że mnie kochasz. Czy mi się śniło, czy to rzeczywiście prawda, żeś mi mówił, że mnie kochasz?

KAZIMIERZ.

A tak, tak, mówiłem ci i raz jeszcze ci to powtarzam, że cię kocham.

BRONKA.

Ach, jak to dobrze, że ty mnie kochasz. Ty mnie nie opuścisz. Kaziu? Wszak nie?

KAZIMIERZ.

Nie.

BRONKA.

A wiesz ty, dlaczego mnie Tadeusz opuścił?

KAZIMIERZ.

Wiem.

BRONKA.

I ja też wiem. Wszak tak, Kaziu, nieprawdaż?

KAZIMIERZ.

Co?

BRONKA.

Ja byłam śniegiem, takim dobrym białym śniegiem, co tuli biedną ziemię, rozgrzewa ją, czy nie tak, Kaziu?

KAZIMIERZ (*zamyślony.*)

Tak... A może byłaś dobrą, kojącą ręką, co przytuliła jakiegoś zranionego ptaka... tak mu było dobrze przy tobie, dopóki był chory, a teraz mu skrzydła nowym pierzem porosły, — mięśnie wzmocniały i gotuje się do lotu... gotować się nie potrzebuje, bo już strzepnął swoje skrzydła...

BRONKA (*przerażona.*)

Nie mów, nie mów tego!

KAZIMIERZ (*rozdrażniony.*)

Otóż właśnie będę o tym mówił. Tadeusz odleci od ciebie z Ewą.

BRONKA.

Z Ewą? Z Ewą? Kto to jest Ewa? Czym ona jest!

KAZIMIERZ.

Kto to jest, czym ona jest? Moim snem, twoją bolesną zmorą, a piekielnym pragnieniem Tadeusza. Tym, otóż tym jest Ewa (*uśmiecha się.*) Jeszcze nie rozumiesz? Więc słuchaj: Ewa jest moim snem, bo potrzebowałem jej na to, by cię ujrzeć w całej twej sile i piękności. Dla ciebie jest Ewa lękiem i przerażeniem, bo czujesz, że cię w czarną otchłań rozpaczy prowadzi, czujesz, że ci porywa Tadeusza, dla którego jest piekielnym pragnieniem jakiejś wielkiej mocy i potęgi, jest niepokojącą tęsknotą, która go zawsze rwała wzwyż — wzwyż ku niebu.

BRONKA *(zrywa się i prostuje.)*

Patrz, jam silna, jam dosyć mocna i zimna, by ją i jego zniszczyć, stratować! Ja silniejsza od nich wszystkich. Ja rozszarpię i zabiję ją, bo ja jestem jedyną, jedyną jego tęsknotą!

KAZIMIERZ.

Oszczep jego tęsknoty wybiegł poza ciebie.

BRONKA (*oszalała.*)

Ale, Kaziu, patrz na mnie, patrz! Patrz, jam też młoda, piękna... wieczność całą powtarzał mi to słowo: jakaś ty piękna. Dlaczego jego tęsknota ma wybiec poza mnie?

KAZIMIERZ (*ujmuje jej ręce i mówi cicho i łagodnie.*)

Dla mnie jesteś piękną i wielkim a świętym ukojeniem...

BRONKA (*patrzy na niego, a potym nagle.*)

Kusisz mnie?

KAZIMIERZ.

Nie, Bronka, nie, już ci dziś rano powiedziałem, że gardziłbym tobą, gdybyś mi była wzajemną, ale ja cię kocham taką piękną, jaką jesteś w całej twojej niemocy i rozpaczy... Coś złego się dzieje w tym domu, a ja chcę ci być bratem, przyjacielem, czym chcesz...

BRONKA.

Kaziu, czy ty na prawdę to mówisz?

KAZIMIERZ.

Nie znasz mnie na tyle?

BRONKA *(głaszcze go.)*

Znam cię, Kaziu, znam. Ja jedna, jedyna na świecie, i tyś jeden, jedyny... ciebie nie kocham, ale kocham twoją dobrą, piękną miłość. Powiedz mi, Kaziu, co to znaczy, żem taka senna, taka zmęczona?

KAZIMIERZ (*tkliwie.*)

Całą noc nie spałaś.

BRONKA.

Och, jak ja go męczyłam i jak on mnie męczył.

KAZIMIERZ.

Co ci mówił?

BRONKA.

Nic, nic, nic. Był dobry, był słodki, był kochany, zrozumiałam tylko, że oszczep jego tęsknoty padł daleko, daleko poza mną (*nagle z krzykiem.*) Kaziu, gdzie Tadeusz?

KAZIMIERZ.

Poszedł z Ewą do lasu.

BRONKA (*nagle, zamyślona.*)

Poprzez lasy, poprzez góry, poprzez morza... Ach, i poprzez Bronkę, poprzez tę jedyną, ukochaną Bronkę, a teraz taką osamotnioną Bronkę, dokąd? dokąd?!

KAZIMIERZ (*głaszcze jej ręce.*)

Nie wiem.

BRONKA.

Kaziu, Kaziu, czy mi się śniło, ale zdaje mi się, że Makryna tu była?

KAZIMIERZ.

Otarłem się o nią w korytarzu.

BRONKA.

Ta—a—k? Otarłeś się o nią?... Powiedz, czym ty jesteś?

KAZIMIERZ (*uśmiecha się tajemniczo.*)

Ha... może bratem Makryny, bo nikt ciebie tak nie kochał i nie kocha, jak Makryna i ja.

BRONKA.

To prawda, to prawda.

KAZIMIERZ.

Prawda, zdaleka przyszła Makryna do ciebie, zdaleka przyszedłem ja do ciebie, by ci powiedzieć, że cię kocham...

(*Milczenie.*)

BRONKA.

Tak, tak, ty i Makryna.

SCENA VI.

(Lokaj wchodzi.)

LOKAJ.

Wielmożna pani, śnieg odmieciony.

BRONKA.

Och, jak ci jestem za to wdzięczna... Przeręble wyrąbane?

LOKAJ.

Tak.

BRONKA.

Rybaków kazałeś zwołać?

LOKAJ.

Tak.

BRONKA.

Pochodnie przygotowane?

LOKAJ.

Tak, wielmożna pani.

BRONKA.

Dziękuję. Możesz iść. (*Lokaj wychodzi.*)

SCENA VII.

KAZIMIERZ.

Co to ma znaczyć?

BRONKA.

Nic niema znaczyć, idę na połów ryb... (*badawczo.*) Kaziu, idziesz ze mną?

KAZIMIERZ.

Pojdę, gdzie chcesz.

(*Milczenie.*)

BRONKA (*nagle wesoła.*)

Pamiętasz naszą cudowną przejażdżkę po stawie wczoraj i przedwczoraj?

KAZIMIERZ (*zamyślony i w dal wpatrzony.*)

Pamiętam.

BRONKA (*szybko, potym coraz wolniej.*)

Coś tak się nagle zamyślił i tak wpatrzył w siną dal, dal śniegu i w te czarne ugory, na których zakiełkuje zielona ozimina, gdy śnieg zniknie...

KAZIMIERZ (*gdyby echo.*)

Gdy śnieg zniknie...

BRONKA.

Kaziu, ty mnie rzeczywiście kochasz?

KAZIMIERZ.

Kocham!

BRONKA.

Ale ty wiesz, że ja tylko Tadeusza kocham?

KAZIMIERZ.

Wiem.

BRONKA.

I tyś taki piękny, że mógłbyś mną gardzić, gdybym ci była wzajemną?

KAZIMIERZ.

A tak, gardziłbym tobą, gdybyś mi jednym, jedynym ruchem wzajemność okazała.

BRONKA.

Ale gdybym cię o coś bardzo, bardzo prosiła, czy jesteś w stanie to spełnić?

KAZIMIERZ.

Co?

BRONKA (*badawczo.*)

Nawet to?

(*Chwila milczenia, patrzą długo na siebie.*)

KAZIMIERZ (*zamyślony.*)

Wszystko, wszystko.

BRONKA (*nagle.*)

Gdzie są łyżwy?

KAZIMIERZ.

Na co łyżwy?

BRONKA.

Dla pozoru, dla pozoru...

KAZIMIERZ.

Dobrze. Jak chcesz.

BRONKA.

Niech się stanie.

KAZIMIERZ.

Hm. Niech się stanie.

BRONKA *(w najwyższym przerażeniu.)*

Ma się stać?

KAZIMIERZ.

Tak! (*uśmiecha się*) Ale po cóż kazałaś zwoływać rybaków? Na co ludzie? Pochodnie?

BRONKA (*patrzy na Kazimierza.*)

Prawda, prawda! Przecież to można wszystko tak zrobić, że nikt nie będzie wiedział. Ha, ha, ha, co za głupi pomysł!

Gotowi jeszcze człowieka w ostatniej chwili wyratować— ha, ha, ha—och, co za głupią komedyjkę podyktowało mi moje rozżalone serce... (*Dzwoni.*)

SCENA VIII.

(Lokaj wchodzi

LOKAJ.

Co wielmożna pani rozkaże?

BRONKA.

Powiedz, że nie będzie dziś połowu ryb. Jutro rano—jutro rano—rozumiesz?

LOKAJ *(zdziwiony.)*

A już wszystko przygotowane.

BRONKA.

To bardzo dobrze. Ale dopiero jutro rano odbędzie się połów ryb—ha, ha, niezwykłych ryb...

LOKAJ.

Więc pochodnie nie potrzebne?

BRONKA.

Czyś mnie jeszcze nie zrozumiał?

LOKAJ.

Rozumiem, wielmożna pani. Ale staw już zamieciony.

BRONKA.

Bardzo dobrze.

LOKAJ.

Przeręble wyrąbane.

BRONKA.

Jeszcze lepiej.

LOKAJ.

Więc odwołać?

BRONKA.

Przecież ci to już tysiąc razy powiedziałam.

LOKAJ (*kłania się i wychodzi.*)

SCENA IX.

KAZIMIERZ.

Więc chodźmy!

BRONKA.

Chodźmy! — Tobie przecież wszystko jedno, czy tu, czy tam będziesz się nudził? (*śmieje się histerycznie.*)

KAZIMIERZ.

Jak najzupełniej — no a zresztą moją osobą upozoruję jaknajpiękniej dziwny, a raczej bardzo zwyczajny wypadek, że dwoje ludzi dostaje się pod przerębel. (*Śmieją się.*)

KAZIMIERZ.

Nawet testamentu pisać nie potrzebujemy...

BRONKA (*zbiera się nerwowo.*)

Ha, ha, ha — bez testamentu, bez testamentu... Już jesteś gotów?

KAZIMIERZ.

Dawno już.

BRONKA.

Chodźmy, chodźmy... (*ogląda się dokoła, żegna pokój wzrokiem — wychodzą.*)

SCENA X.

(Scena przez chwilę pusta. Wchodzi Makryna, rozgląda się po wszystkich kątach.)

MAKRYNA.

Poszli, już poszli... Moje żniwo... moje żniwo... jedną niosłam na moich rękach... a teraz drugą... drugą... (*podchodzi do otomany, obchodząc zwolna dokoła pokój*). Tu siedział ten kochany, biały gołąbek... tu... A ją najwięcej kochałam... (*Obchodzi dalej pokój, po kolei dotyka mebli*). Tu... tu moja gołębica kryła swoje łzy (*podchodzi do fotelu*). Tu jeszcze dziś rano siedziała Bronka... Bronka... Bronka... I już nie wróci, nie wróci... I ten piękny sokół nie wróci... Tak stać się musiało... Białe widmo jej matki chodzi po pałacu i woła... woła... Nie wrócą już, nie wrócą już nigdy... A teraz ja tu już pozostanę...

(*Siada nieruchoma i pozostaje.*)

Zasłona spada.

KONIEC DRAMATU.